



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k, 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Wymiana usług p. J. A. — Zaniedbane pole p. J. B. — Opiekunowie p. Szczedryna. — Słowa prawdy II. U nas inaczej p. M. S. — Z dziejów męczeństwa p. A. S. — Poezye Maryi Konopnickiej (Warszawa, Gebethner i Wolff) p. J. K. — Włodzimierz Spasowicz jako krytyk (dokończenie). — Calderon (1601—1687) p. T. T. — W sprawie hipotek włościańskich p. Wł. Nowakowskiego. — Karol Kloss (wspomnienie pośmiertne). — Liberum veto. — W Perspektywie. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału, upraszamy szan. abonentów prowincjonalnych o wczesne nadsyłanie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki lub przerwy w odbiorze pisma. Ci, którzy nie zdążą przesłać pieniędzy a życzą sobie nadal otrzymywać **Prawdę**, zechcą uwiadomić nas o tem listownie.

WYMIANA USŁUG.

W jednym z pierwszych numerów *Prawdy* nakreśliśmy to „błędne koło,” w którym kręci się Galicya, skazana na przykładzie z żywiołami feudalno-ultramontañskimi, które zapewniającej pomoc, każą sobie płacić usługami w każdym ruchu wstecznym. W kole tym właśnie znaleźli się posłowie polscy podczas ostatnich posiedzeń Rady Państwa, rozpatrującej wniosek Lienbachera, o skróceniu przymusowej edukacji w szkołach początkowych z lat 8 na 6. Jest to dawna mara, która już odbyła parlamentarną wędrówkę i którą w Izbie Panów zaspokojono wyznaczeniem czterech władz, mających prawo rozstrzygać o możliwości uwolnienia dziecka ze szkoły poskróconym terminie. Obecnie wniosek ten przywleczono znowu przed Radę Państwa w chwili, gdy polacy mieli do załatwienia ważną sprawę — projekt budowy kolei transwersalnej. Prawica zapewniła im poparcie pod warunkiem, że wprzód oddadzą swe głosy na korzyść wniosku Lienbachera. Rozpoczęły się targi, skutkiem których postanowiono, że: naprzód prawica

przeprowadzi projekt kolei a potem polacy dopomogą do skrócenia okresu szkolnego. Gdy jednak przyszło do spełnienia tej ostatniej obietnicy, Hausner poczuł zgryzoty wolnomyślnego sumienia, odmówił swego głosu, a na wypadek nacisku zagroził złożeniem mandatu. Nową tę secesyę uśmierzone, zwolniwszy ze słowa Hausnera, za którym poszedł drugi poseł Raczyński i młodocześni. Ostatecznie Galicya otrzymała kolej za dwa lata urwane oświacie.

Ta wymiana usług, której moralną wartość zaznaczyli dwaj liberalni odstępcy, ujawnia nam naturę owego związku. Działania parlamentarne są tej natury, że stronnictwa dla zapewnienia sobie pomocy innych grup posiłkują je swoją siłą, ile razy to posiłkowanie nie sprzeciwia się ich programowi. Nie bierzemy też za złe posłom polskim ich łączenia się z prawicą, gdy tym sposobem osiągnąć mogą ważne dla kraju korzyści. Ale zachodzi pytanie, czy ofiary nie przewyższają zysków; innemi słowy: czy otrzymanie kolei warte jest skrócenia edukacji przymusowej? Skoro pobudka do tego kroku wyszła z łona partyi wrogiej rozwojowi umysłowemu, dąży ona niezawodnie do cofnięcia oświaty, która wytwarza nader nieprzyjemne warunki dla utrzymania się i rozrostu żywiołów wstecznych. Wprawdzie rzucono na szalę obrad względy ubóstwa góralów, niemogących przez ośm lat posyłać dzieci do szkoły. Przypuściwszy nawet, że nie są to wybiegi, przyznać musimy, że dla kilkudziesięciu gmin niepodobna zmieniać systematu wychowania w całym państwie. Czuli to niezawodnie ci liberalni posłowie czescy i polscy, którzy umyli ręce i nie chcieli na swem sumieniu zapisać uchwały, wymierzonej przeciwko szkole. W sprawozdaniach gazet naszych z tego posiedzenia słyszymy tylko oklaski nad tryumfem wniosku i najgrawania się z porażki niemieckich liberałów.

Nie należy się jednak zbyt upajać tem zwycięstwem, którego skutki wykazać mogą klęskę. Zapieniona lewica wyrzuciła przez usta swych mówców dużo błota, ale w jej łajaniach brzmiała cicho nuta prawdy, która w uszach posłów polskich nie zadzwieczała przyjemnie. Mimo całego upiększenia wniosku Lienbachera czułością dla uciemiężonych przez państwo biedaków, wyjrzał z niego jezuicki kapelusz, a zagłosowane prawo było ostatecznie ciosem dla oświaty. Dbający o jej dobro mogli spytać i pytali niezawodnie: dlaczego owe dwa lata oderwane od ośmiu mają być dla ubogiej ludności tak wielką ulgą? Czy one raczej nie są jedynie zdobyczą stronnictwa, pragnącego powoli oskubywać szkołę z jej potężnych wpływów? Dziś odebrano jej dwa lata, później jeszcze dwa, a kiedyś może cały przymus.

Jestto fatalnością dziejów koła polskiego w Wiedniu, że najczęściej widzujemy je na stronie, walczącej za kierunek wsteczny. Gdy czesi przed kilkulatami wystąpili z wnioskiem zniesienia stępla od dzienników, galicyanie, których ciężar ten może najbardziej przygniata, oparli się jego zrzuconiu. Dziś znowu widzimy ich w szeregach atakujących szkołę. Smutny, przykry widok, odnawiający jeszcze jednym dowodem przyklepione w Europie do naszego nazwiska znamie wstecznictwa. Jeśli dowód ten nie pozyskał niebezpiecznej siły, to zawdzięczać należy przedewszystkiem Hausnerowi, który swem śmiałością i uczciwem odstępstwem uratował w części liberalny honor koła polskiego.

J. A.

ZANIEDBANE POLE.

Od bardzo wyraźnie zaznaczonej chwili w historii ostatnich kilkunastu lat, społeczeństwo nasze zwróciło się całymi siłami, rzec można — gorączkowo do prac realnych, przynoszących niezaprzeczone, bądź materyalne, bądź duchowe korzyści. Dążenie to do opanowywania drobnych szczegółów, to zdobywanie cal po calu drobnych stanowisk branych, nietylko wydało już swe owoce, ale nadto musiało znaleźć i rzeczywiście znalazło swój wyraz w literaturze. Istotnie, szpalty dzienników naszych, wszelkich barw i odcieni, przepelnione są wezwaniami do tak zwanej *pracy organicznej*, do drobnych, groszowych drobików na polu ekonomicznych i społecznych stosunków. Była nawet chwila takiego do owej *pracy organicznej* zapалу, tak wiele na niej budowało sobie nasze społeczeństwo, że nawet wybrańcy muz poczęli ją apoteozować i stawiać jako wzniósłszy, idealny cel życia.

Hej do młotka, hej do kielni!

wołano w chwili tego wielkiego uniesienia a echo tej pobudki odbijało się w kolumnach wielu dziennikach. Z drugiej zaś strony, idealniejsze pragnienia i porywy były przyjmowane z taką obawą i niedowierzaniem, że zbiorowe ciało kilku uczonych umyśliło wymierzyć zabójczy cios całej naszej literaturze poetycznej, ba nawet Mickiewiczowi, któremu p. F. K. nie mógł darować w swoim czasie tego, że w piosnce studenckiej umieścił śmiały i młodzieńczy wykrzyknik: mierz siłę na zamiary — nie zamiar wedle sił. A któż dziś zaprzeczy, że właśnie p. F. K., pisząc wspomniany artykuł, zmierzył siłę naszego społeczeństwa wedle swych własnych zamiarów ujrzenia w niem samych tylko zimnych, rozsądnych i rachujących ludzi.

Różnostronna w swym charakterze i go-

ścienna, dla wszystkich prasa nie pominęła w tem nawoływaniu żadnej gałęzi życia społecznego. Począwszy od uwag nad początkową oświatą ludu i jego skromną możliwością, skończywszy na rozwoju sztuk, teatru i wielkich fabryk, — wszystkie czyniki były w niej kolejno badane i z taką samą troskliwością używane do rozwoju i do pracy nad gminą wiejską, z jaką do zakładania towarzystw akcyjnych.

Rzecz prosta i naturalna, że wśród tych najrozmaitszych głosów odzywał się także bardzo wyraźnie hejnał, zapowiadający porę zajęcia się nauką. Nie wchodząc tutaj zupełnie w rozbiór pytania, czy prasa jest w stanie popchnąć społeczeństwo do pewnych czynów, czy może natchnąć je ideałami, które samodzielnie jeszcze się nie wyrobiły w narodzie, nie dotykając, powtarzam, tego pytania, ośmielę się tu zwrócić uwagę ogółu nie na potrzebę nauki, bo to już chyba dziś byłoby zbyt cennym, lecz na motyw i względy, jakimi zwykle prasa dowodzi konieczności zajmowania się naukami, zwłaszcza zaś ścisłymi. Względy te, wypływające zresztą z czystego źródła, są tak czysto utylitarne, że poniekąd raczej szkodę, niż pożytek samej nauce przynoszą, bo od niej odstręczają, zamiast zachęcać. Rozumowania prasy naszej, prawie bez wyjątku dadzą się sprowadzić do następnego:

„Uczmy się, aby nie było wśród nas profesorów niemców;

„Uczmy się, aby wśród nas nie było mechaników i inżynierów niemców;

„Uczmy się, bo nauki ścisłe pomagają do rozwoju przemysłu, bo bez nich nie będzie postępu na polu jakiegokolwiek gałęzi przemysłu.

Te i tym podobne wołania, mniej lub więcej krasomówcze, obijały się niejednokrotnie o uszy każdemu w ciągu lat ostatnich, nigdy jednak, o ile mi się zdaje, nie zabrzmiał głos:

Uczmy się, ażebyśmy coś umieli; uczmy

się, by popchnąć wiedzę naprzód, rozszerzyć te widnokręgi, jakie uczeni synowie Zachodu otwierają przed swymi narodami.

To też, jakby w odpowiedzi na głosy prasy, doczekaliśmy się mnóstwa inżynierów i mechaników, a ponieważ nie żądano, więc nie doczekaliśmy się uczonych. Specjalne pisma techniczne wychodzą i rozwijają się, a dobrego podręcznika fizyki lub chemii niema. Stosujemy naukę, lecz o niej samej — zapominamy.

Taki stan rzeczy mógłby uciechować i zadowolnić tych tylko, którzyby w rozwoju materyalnego dobrobytu kraju widzieli cel ostateczny jego dążeń — alfe i omegę społecznego szczęścia. Takiego jednak poglądu chyba nie podzieli nawet ten rozumny przemysłowiec, który całe swe życie poświęca interesom materyalnym. Poważny i nieuprzedzony pogląd na stosunki ludzkie każe zawsze uznawać zarówno wpływ wszystkich czynników na rozwój społeczny i nigdy nie pozwala przeceniać jednych objawów kosztem drugich. Bo jak z jednej strony zbyt cenne rozbudzenie poetycznych uczuć w narodzie może go uczynić nieroztropnym, skłonny do popełnienia błędów praktycznych; — tak znów rozbudzenie w nim nadmierne dążeń do bogactw i powiększania, godziwie lub niegodziwie, dobrobytu może go zbyt zmateryalizować i pozbawić tej podstawy moralnej, której utrata pociąga za sobą rozwój pierwiastków, nazwanych przez Du-Bois-Reymonda, wewnętrznym barbarzyństwem, który uważa je za klęskę cywilizacji a przypisuje postępowi praktycznego materyalizmu.

Suum cuique. Życie narodu jest objawem złożonym. Jak każda część rośliny jest jej potrzebna do utrzymania życia i gatunku, tak też każdy objaw bytu narodowego wymaga równie pilnego pielęgnowania, równie starannych usiłowań nad jego utrzymaniem. Kwiat jest równie wa-

OPIEKUNOWIE

przez
Szczydryna.

Zawsze czułem słabość do rosyjskiej biurokracji i właśnie za to, że zawsze przedstawiała w moich oczach jakąś nierozwiązalną zagadkę psychologiczną. Pomimo wszelkich usiłowań, aby wypracować niej biurokrację, ona za nic nie chciała się nią zrobić. Jeszcze w oczach władzy — jako tako, niechże tylko władza za drzwiami — już wysunie język i śmieje się sama z siebie. Wyobraź sobie biurokrację rosyjską, któryby sam patrzył na siebie, jako na biurokrację, bez pewnego szyderstwa, nie tylko trudno, ale nawet prawie niepodobna. A jednak, biurokratuja tysiące, setki tysięcy, prawie miliony ludzi. Milion chodzących zagadek psychologicznych! Milion ludzi, którzy sami na siebie nie mogą spoglądać bez uśmiechu — czyż to nie ciekawe?

Sądzę, że nasze dawne łapownictwo (z zadowoleniem używam wyrazu „dawne“ i mogę nawet zapewnić, że czterdziestek dziś naprawdę nikt nie bierze) bardzo znacząco przyczyniło się pod tym względem. Łapownictwo podniecało do zapewnienia przyjaźni i do prostoty stosunków;

niszczyło przegrody i skracало odległości, przerywało biurokratyczny indyferentyzm i czyniło serce urzędnika dostępnym dla nieśmięlnych obywatelskich. Zachodzi pytanie, czy możliwym było wyrobić biurokrację z Dierżymordy, gdy za czterdziestówkę gotów był w jednej chwili z poskramiać i mentora stać się przyjacielem domu? Przypuszczać naprzykład taki wypadek: Dierżymorda ma rozkaz zmienić wasze „być“ na „nie być.“ Ze zna on doskonale, jaką mechanikę należy podprowadzić, ażebyście w jednej chwili przestali istnieć — o tem, naturalnie, wątpić nie należy; na szczęście jednak, wie on jeszcze lepiej, że ze zniszczenia czyjegokolwiek bytu nie tylko on, ale nikt nie powinien mieć najmniejszej korzyści. I oto zaczyna manewrować. Przedewszystkiem, stara się uderzyć waszą wyobraźnię i w tym celu zjawia się z całym arsenałem hamulcowych narzędzi. Potem, obleka się w jowiszową powagę, wstrząsa ramionami, gestykułuje i basem mówi wszelakie sprośności. Słowem, przystępuje do rzeczy czynnie i rozważnie. Ale nie lekaje się tych podejść wojennych, nie przekonywujecie, nie tłumaczcie się, lecz po prostu wyjmujecie czterdziestkę. Za ledwie monetka błysnęła mu przed oczyma — cała jego naciągnięta, nienaturalna powaga znikła w moment. Narzędzi hamulcowych — jak gdyby nigdy nie było; sprawa niebytu niknie w jednej kieszeni, a czterdziestka w drugiej; w pokoju nastaje światło i radość; na stole zjawia się wódka i zakąska...

I oto przed wami, Dierżymorda — przyjaciel domu, Dierżymorda — mąż do rady. Czterdziestka wyjaśniła jego myśli i obudziła w nim te lepsze instynkty, które skłaniają człowieka do zrozumienia, że byt jest lepszy od niebytu, a przepędzenie czasu przy zakąsce jest lepszym, aniżeli przepędzenie czasu na pisaniu bezpłodnych protokółów, na które jeszcze, Bóg wie, jakimi oczyma spojrzysz Skwoźnik — Dmuchanowski (wszak za pół rubla i on o każdej porze gotów jest stać się przyjacielem domu). Zważywszy to wszystko, wypija kieliszek za kieliszkiem i nie tylko puszcza w niepamięć kwestyę niebytu, ale jeszcze uczy was rozumu, jak macie przedłużyć ten byt, utrwalić go i wogóle doprowadzić do kwitnącego stanu. Za pół godziny już go nie ma; wypił wszystko i zjadł, co tylko było na oczach, i poszedł po drugą czterdziestkę, którą już oddawna dostrzegł w kieszeni waszego sąsiada.

Skwitowaliście się, a chociaż w waszym worku ubyla jedna czterdziestka, nie przeklinajcie jednak, gdyż, dzięki tej monecie, został przy was najcenniejszy dar Stwórcy: wasze „być.“

Jak chcecie, ale to — swego rodzaju *habeas corpus*.

Jak dalece rzecz ta jest prawdziwą, dowodem to, że gdy Dierżymorda umarł i następcy jego zaczęli traktować dwudziestokopiejkową z lekceważeniem, dla wielu ludzi życie stało się cięższym. Zupełnie, jakby wśród skwarne lata bez deszczu,

żnym organem w życiu rośliny, jak owoc, nasienie, liść lub łodyga; podobnie w życiu narodu dobrobyt materialny nie jest ani na włos ważniejszym od poczucia cnót obywatelskich, moralności, sprawiedliwości, sztuk i nauk. To też zwykle prawidłowy rozwój społeczeństwa jest rozwojem każdego z tych czynników, nienaruszającym ich harmonijnego stosunku. Sądzę, że tego rodzaju uwagi musiały się nasunąć każdemu, kto uważnie bada drogi, jakimi kroczy nasz ogół w ostatnich czasach, i jakimi wiedzie go prasa. Pominawszy bowiem nigdy niezapuszczane pola artystyczne, wszystkie swe siły poświęca ona bieżącym sprawom praktycznym. Nauka dla niej zdaje się wcale nie istnieć. Cóż więc dziwnego, że jej w społeczeństwie nie ma? Co tu jest przyczyną, a co skutkiem — nie chcemy rozbiierać; notujemy tylko ten smutny fakt, że żadna praca naukowa, niemająca bliskich praktycznych celów i nieskrząca się błyskotliwymi efektami (spektrofon, telefon, fonograf), nie znajduje w naszym dziennikarstwie ani uwzględnienia, ani poparcia. Dowodzi to, zdaniem mojem, dwóch, wcale niepocieszających twierdzeń:

1) że zastęp ludzi, którzyby się interesowali postępami nauki, jest niewielki — więc nie ma dla kogo pisać;

2) że dziennikarstwo czyniąc z nauki służebnicę przemysłu lub bawicielkę czezej ciekawości, zajęło wobec niej zupełnie fałszywe stanowisko.

Jeżeli słuszność pierwszego z tych twierdzeń mogłaby być wątpliwą, to drugie wydaje się piszącemu niezbłą prawdą, dającą się odnieść nietylko do prasy, ale i do wykształconego ogółu.

Niechby ktoś wynalazł i uzyskał patent na maszynkę do robienia uszek w igłach, zaraz tysiączne wiwaty rozległyby się w kolumnach dzienników dla szczęśliwego wybrańca bogiń sprytu i wynalazczości. Ale niechby ktoś — jak np. p. Dybowski,

lub Czekanowski — poczynił niemałe nawet podboje w nauce, musiałby pozostawać w cieniu, zanim jego zasługi dostałyby się do wiadomości naszego społeczeństwa i to, rozumie się, przez Paryż, Londyn, Berlin lub Petersburg. Jeszcze z p. Czekanowskim łatwiej — to geolog, mógł znaleźć węgiel, rudę żelazną, sól, ba nawet złoto; ale co tu pisać o p. Dybowskim i z jakiej strony przedstawiać jego działalność, kiedy on zbiera głównie nieznane i nikogo nieobchodzące raczki, a o przysparzaniu groszy myśleć nawet nie chce.

Gdzie nauka na silnych stoi podstawach, gdzie uniwersytety liczą się na dziesiątki, a pisma specjalne i towarzystwa naukowe na setki, gdzie są księgarnie, których wyłącznym zajęciem jest wydawanie dzieł naukowych (Vieweg und Sohn, Braunschweig), tam udział dziennikarstwa w sprawach nauki może być mniejszym niż u nas, gdzie wiedza nie wyrobiła sobie jeszcze szerokich łóżysk, któreby spokojnie płynąć mogła ku swym celom teoretycznym. U nas, a zwłaszcza w Warszawie, nawoływanie do jaknajliczniejszego składania ofiar na ołtarzu wiedzy jest, zdaje mi się, obowiązkiem każdego organu, któremu rozwój społeczeństwa jest drogim, stanowi, naszym zdaniem, sprawę równie palącą i pilną, jak np. kwestya żydowska lub dobrobyt robotników fabrycznych.

Tak przywykliśmy oddawna do słuchania rozmaitych peror, głoszonych ustawicznie na nutę materialnych korzyści, iż usprawiedliwioną jest obawa piszącego, by ostatnie zdanie o nagłości zajęcia się sprawami naukowymi nie były poczytane za zwykłą formę retoryczną. Na szczęście przemawiają za nami tak poważne świadectwa, że one z pewnością przekonają ludzi dobrej wiary, a praktycznym materialistom spędzą choć na chwilę z ust szyderstwo.

Mamy tu na myśli niezmordowanych w pracy nad nauką, znanych całemu oświe-

conemu światu, takich badaczy jak: Pasteur, Claude-Bernard i Wurtz. Uczeni ci, którzy wzbogacili wiedzę niesłychanie cennymi zdobyczami — przejęci są głębokim patriotyzmem i przywiązaniem do swej ziemi; to też katastrofa sedańska i z ich piersi wyrwała bolesny okrzyk.

Już w r. 1871 Pasteur wypowiedział te pełne prawdy słowa: „...Jeżeli w chwilach największego niebezpieczeństwa Francya nie znalazła ludzi genialnych, zdolnych do zużycia sił i odwagi jej synów, to jedynie dlatego, mam to silne przekonanie, że od pół wieku przestano się we Francyi zajmować wielkimi pracami myśli, zwłaszcza w dziedzinie nauk ścisłych.“

„Ojczyzno moja! — mówi w innym miejscu tenże badacz — któraś tak długo dzierzyła w swem ręku berło myśli badawczej — czemuż odwracasz się teraz od swych najszlachetniejszych dzieł! Są one boską pochodnią, oświecającą ludzkość, żywym źródłem wszystkich wielkich uczuć, i przeciwwagą w dążeniu do uciech materialnych“¹⁾.

Tych, którzyby pragnęli poznać gruntownie poglądy Claude-Bernarda, Pasteura i Wurtza na znaczenie nauk ścisłych — odsyłamy do pięknej pracy dra Z. Wróblewskiego — umieszczonej w 5, 6 i 7 zeszytach *Kosmosu* z 1880 r. i noszącej tytuł: „Fizyka we współczesnej Francyi.“ Z pracy tej przekonają się, jak na naukę ścisłą zapatrują się wspomniani mężowie. Nie uważają jej za służkę tych lub owych gałęzi przemysłu i dobrobytu, lecz cczą jako mistrzynię prawdy i strażnicę narodowej moralności. Już i Schiller trafnie wy- rzekł:

Nauka dla jednego jest boginią, czeł on ją zdaleka,
A krowa dla drugiego — co żyje z jej mleka.

Że dla nas nie jest ona boginią, o tem wie chyba każdy, kto nieuprzedzonym okiem na kraj patrzy. Każdy zasłania się

¹⁾ *Kosmos*. V. str. 249—1880.

gdy i tak już człowiek nie wie, dokąd uciec przed pieką i zaduchem, poczuje w powietrzu obecność strasznej morowej zarazy.

— Ciężko, mój braciszku, człowiekowi! nieчем nie odpędzisz tej plag! — skarżyli się wówczas jeden przed drugim obywatele a nie mogąc dać sobie rady, schodzili kolejno z tego świata.

Na szczęście ów ciężki okres nie trwał długo. Dzięki Dierżymordzie i długiej jego praktyce nietylko utrwaliło się przekonanie, że sprawa niebytu nie ma w sobie nic poważnego, ale nadto obywatele oprzytomnieli.

Nie pomogła wówczas uporczywość, ani szorstkość, ani tłumaczenia, ani też żadne pierwsi, znienacka zaskoczeni obywatele. Potem, wszystko napowrót weszło w swój tryb właściwy. Naprożno nieposzlakowane młode pokolenie, co nastąpiło po Dierżymordach, starało się przekonać i udowodnić, że biurokracya nie jest pustym frazesem; nikt mu nie wierzył. Każdy miał na pamięci jeszcze zatłuszczony szlafrok Dierżymordy; w uszach każdego brzmiał jeszcze hałaśliwy jego śmiech... więc co tu tłumaczyć! dowodzić! I otoż młodzież biurokratyczna zżyma się, marszczy brwi, wypina piersi, robi jowiszowe miny, a ludzie ciągle jej mówią:

— Nie tak ostro, dobrodzieju! — nie bardzo się boimy!

Myśmy u samego Antoniego Antonowi-

cza (Skwożnik-Dmuchański) byli w opałach — a nie nam nie zrobił!

Mów oto jegomość odrazu: ile ci się należy?

— Ja nie potrzebuję niczego, tylko abyście przestali istnieć! — odpowiadała niedowiarkom młoda biurokracya.

— Ale! zastanów się nad tem, coś powiedział! Na Boga, patrz! Rozważcie sami, gdzie jest olimpijczyk, któryby nie uległ tej niewinnej naiwności? „Na Boga! patrz!...“ Łatwo to powiedzieć! a jednakże, kiedy spojrzysz, dyabli cię wezmą! I jak się tu nie rozezulić podobnem napomnieniem? jak nie wykrzyknąć: „dopomóż wam Boże! żyjcie! mnożcie się! i zaludniajcie ziemię!“

Tak też postąpili sobie młodzi następcy Dierżymordy. Przez pewien czas jeszcze opierali się, ale, słysząc dokoła niezmiennie: „patrz, na Boga,“ zrozumieli, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko ustąpić. Zresztą cofnęli się w porządku.

Ustąpili wcale nie dla czterdziestki, lecz dumni przekonaniem, że niezależnie od niej, znaleźli w sobie siłę do przebaczenia obywatelom. Ażeby lepiej zamaskować jeszcze porażkę poniesioną, w przedsięwziętej kampanii, sami postanowili ułożyć z niej humorystyczną epopeję.

Odtąd, cechą charakterystyczną rosyjskiej biurokracyi stało się ironiczne traktowanie samej siebie.

Dawni Dierżymordowie *szlafrokowali*; dzisiejsi, bawią i *amicochoniują*.

Krótko mówiąc, prawdziwych „zacofa-

nych“ biurokratów, którzy nie przebaczą jest bardzo niewiele... a i ci nawet są skazani na osamotnienie. Niewiele nawet takich, co ustępują bez urągania. Największa zaś część ich przebacza przy śpiewie i tańcach; dzwoniąc we wszystkie dzwony:

„Patrzeie no, patrzeie, jaką urządzamy maskaradę!“

Znam wielu moralistów, którym objaw podobny wydaje się wstrętnym. Ja zaś, choć nie nie mam przeciwko tej opinii, muszę jednak dodać ze swej strony: jakoś żyjemy!

W jednym tylko wypadku biurokrata rosyjski jest zawsze i dotąd jeszcze prawdziwym biurokratą, mianowicie na stacyi pocztowej, ilekroć pocztmajster nie daje mu prędki koni, i nie pozwała dalej ciągnąć administracyjnego biegu.

Wówczas ten wypręża się w całej wysokości, nakłada na głowę czapkę z gwiazdką (choćby to było w pokoju), zgrzyta zębami, podsuwa pocztmajstrowi pod sam nos *podorożną* — i krzyczy:

— Ale czy wiesz ty kurzy synu, z kim masz do czynienia? czy ty to widzisz? wsadźże ryj w *podorożną*! patrz! czytaj!

Należy się spodziewać, że przy pomocy Boga, z rozwojem kolei żelaznych i na stacyach pocztowych liczba podobnych objawów biurokratyzmu, w znacznym także stopniu się zmniejszy.

A *propos*!... Mówiąc o bezskuteczności usiłowań w celu osiedlania rosyjskiej biurokracyi, nie mogę się powstrzymać od po-

wzniosłemi słowami Staszyca, wzywajacem do naukowego badania kraju pod względem przyrodniczym dla wyciągania zeń materialnych korzyści, a wszyscy zapominają o całym jego życiu, poświęconem więcej nauce czystej, niż stosowanej, o jego darach i zapisach, z jednej strony opatrujących pierwsze potrzeby biedaków, z drugiej uposażających hojnie naukę.

Sprawa ta wydaje nam się tak poważną, że powrócimy do niej jeszcze; tu tylko staliśmy się rozjaśnić ją w zasadzie, powrócić drogowskazowi naszego życia to jego odłamane ramię, które prowadzi do poznania prawdy, niezalecanej przez materialne korzyści—do źródła czystej wiedzy.

J. B.

SŁOWA PRAWDY.

II.

(U nas inaczej...).

Co to jest egzamin?

Jest to badanie, czego uczeń lub student nie umie i usiłowanie niepuszczenia go wyżej.

Co to jest doktoryzacja?

Jest to wykazywanie doktorantowi, że nie zna tego, czego w swej rozprawie nie przytoczył.

Gdybym dwie te definicje, uszczknęte na niwie naszych praw i zwyczajów, przesłał kierownikom szkolnictwa zagranicznego, nie uwierzyliby zapewne, że są to plody cywilizowanego gruntu. Pozostają one bowiem akurat w stosunku odwrotnym do zasad przyjętych gdzieindziej. W Niemczech egzaminem nazywa się próba, przekonująca, co uczeń lub student umie. Gdyby u nas profesor dowiedział się, że kandydat do promocji lub stopnia naukowego z całej historii powszechnej nie zna tylko dziejów Hormisdasa, niezawodnie zapytałby go o nie. Piszący te słowa zapa-

miętał z życia swego takie dwa wypadki. Przed dziesięciu laty wykładał w tutejszym uniwersytecie historię Rosji usunięty obecnie profesor. Spotkawszy nas kilku w wigilię egzaminu, zagadnął: „Jesteście panowie przygotowani?” — Zupełnie — odrzekłem — nie zdążyłem tylko przeczytać lekyi pańskiej o snach kijowskich zakonników. Na drugi dzień wyciągnąłem pytanie o Kronice Wołyńskiej, profesor jednak zażądał dodatkowo, ażeby mi opowiedział, co się śniło kijowskim zakonnikom. Pamiętałem tylko jeden sen: obraz diabła jadącego na wieprzu. To może uratowało mój dyplom. W kilka lat później złożyłem rozprawę doktorską w jednym z uniwersytetów niemieckich. Do egzaminu wyznaczony został słynny uczony. Gdy przedstawiłem mu się w domu, zapytał mnie: — Czego pan jeszcze nie zbadałeś? (Przypomniał mi się diabeł na wieprzu) — Ponieważ — odrzekłem — jest to moja specjalność, więc starałem się poznać ją całkowicie. Ależ panie — odparł z uśmiechem — wszyscy w naszych specjalnościach wiemy mało i wszyscy pewne rzeczy znamy lepiej a inne gorzej. Ażebyśmy więc mogli znaleźć się w równych warunkach, uprzedź mnie pan, coś najlepiej zbadał; jeden z nas musi się do drugiego zastosować, a już ci słuszniej, żebym to uczynił ja, niż pan. Bo pan deklarujesz nam swą wiedzę, a do nas należy tylko osądzić, czy ona jest wystarczającą do pozyskania stopnia i czy ją pan posiadasz.

Wydawało mi się to tak rozumne, że wypowiadałem się profesorowi bardzo szczegółowo. Nazajutrz, jak sądzicie, o co mnie pytał? O to, co mi wskazałem jako najsilniejsze punkta mojej wiedzy. Był to egzamin straszny, szczegółowy, posunięty aż do przesady w drobiazgach, najsurowszy ze wszystkich, jakie złożyłem w instytucjach krajowych, ale zamknięty na tem polu, które uprawilem. Tak robi naród oświecony i jego mistrze. Sami wyczerpu-

jąc niezgłębiając kopalnię nauki, pojmując, że jej w najcięższym kierunku do dna wyczerpać nie można. Najłżejszą ze sztuk jest sztuka obcinania na egzaminach. Dokonałby jej nawet pierwszoklasista na Rannem, gdyby przygotował się, kazał mu wyliczyć wszystkie daty z życia Hormisdasa.

Nie zdziwiła też nas wcale daremna, objawiona ubiegłej niedzieli chęć zaprotestowania przeciwko przyznaniu stopnia doktora medycyny Teodorowi Duninowi. Zanim fakt ten ocenimy, winniśmy przedewszystkiem rzucić światło na istotę tego rodzaju ceremonii. Najpoważniejsze uniwersytety nie znają publicznej szopki, w której udana śmierć grozi ciągle kosą doktoryzującemu się Herodowi, ale mu głowy nie ścina. Tam rozprawa doktorska jest naprzód oddana do uznania specjalnych referentów, ci piszą o niej sprawozdanie, komunikowane całemu wydziałowi, który na nią głosuje. Jeżeli więc przedstawiona praca ulega poważnym zarzutom, zabijają one ją po cichu. Podobnie dzieje się u nas, z tą wszakże różnicą, że profesorowi wolno na sesji wydziałowej dopuścić kandydata do doktoryzacji a na publicznym posiedzeniu prawa do stopnia mu zaprzeczyć. Otóż z tego faktu wywiązuje się pytanie, co tu jest komedią: czy uznanie dysertacji w łonie wydziału, czy nieuznanie jej na publicznej ceremonii? Albo uniwersytet nie rozstrzyga o jej wartości, albo rozstrzyga. W pierwszym razie każdy winien posiadać prawo ubiegania się o stopień naukowy bez upoważnienia uniwersyteckiego a wyrokować musiałaby publiczność; w drugim — samo dopuszczenie kandydata do publicznej ceremonii winno go zasłaniać przeciwko szykanom z tej strony, która mu ten zaszczyt przyznała. Nie pojmujemy zaś jakim sposobem można jednocześnie godzić się na coś w sali wydziałowej a nie godzić się w auli. Przecież doktorant po otrzymaniu pozwolenia na

święcenia choćby kilkuset innemu jeszcze, niezbyt również dla mego serca drogiemu objawowi, który także odgrywa wcale nie małą rolę w ekonomii życia narodowego, a zaszczepia się z równą trudnością. Mam tu na myśli — podsłuchiwanie.

Podsłuchiwać francuz... to prawdziwy mistrz swojego kunsztu! To istny szpiegbrzytwa! Najpierw, przekonany jest zawsze o użyteczności swojego zajęcia; powtóre — wie, o co mu idzie, i — po trzecie: nigdzie się sam nie wkreca. Trzy te cnoty robią zeń mistrza. Podsłuchuje rozumnie i w treści tego, co słyszy, umie szybko rozpoznać rzeczy główne od pobocznych. Oszczędza mu to masę czasu. Nie zwraca wcale uwagi na drobnostki, nie oskarży np. kogoś za to, że ten początek człowieka wyprowadza od małpy, lub innego, że po pijanemu raz wykrzyknął: „dobrze byłoby Wierchojańsk zrobić wolnem miastem i zaprowadzić w niem marki pocztowej“. Nie troszczy się ani o autonomię Wierchojańska, ani o pochodzenie człowieka. Podsłuchuje to tylko, co w danej chwili i w danych okolicznościach przedstawia w sobie interes dla podsłuchiwanego. Wysłucha, zrobi potrzebne przygotowania i — wtedy dopiero pójdzie z oskarżeniem. Przytem wszystkiemu sam siebie oszczędza. Dla zachęcenia np. kogoś do złodziejstwa, nie będzie kradł wspólnie ze złodziejem, ani też spiskował wspólnie ze spiskującym. Słowem, nie robi nigdy nic takiego, coby kazało wątpić: czy jest on w istocie

szpiegiem tylko, czy też rzeczywistym złodziejem, lub spiskowcem? Upatrz sobie i obsaczy ofiarę swoją zdaleka, nie tykając jej prawie i trzymając się ciągle z boku w charakterze szlachetnego świadka.

Tak więc prawdziwym, poważnym podsłuchiwcem jest francuz. Ma on spryt, roztropność, wytrwałość; oprócz tego jest szczupłym — nie poci się, i posiada t. z. *jarrets d'acier*. Niemiec, ze względu na wytrwałość jest także dobrym; ale, ten już ma tchórza, i przeto gorliwość zmienia się w nim bardzo często w obawę otrzymania razów. Żyd byłby doskonałym podsłuchiwcem, ale zanadto jest prędkiem. O holendrach, duńczykach, szwedach i o innych nic nie możemy powiedzieć. Jedno wiem, że podsłuchiwać rosyjanin, nie nie wart.

Przedewszystkiem jest to niezdara, ów człowiek, o którym się mówi, że... w wodzie suszy onuce. Nigdy sam nie wie, o co mu właściwie idzie, i dlatego podsłuchuje patrząc, a po wysłuchaniu składa wszystko na jedną kupę; podrugie: jest nieokrzesanym, wskutek czego przeraża się drobnostkami i lęka się najzwyczajniejszej rzeczy. Przepytywał się w zaranie swej rozbudzał wyobraźni, rozmazuje je potem z dziwnym upodobaniem, i przez to z łatwością wprowadza w błąd innych. Kłamie szczerze, bez żadnej korzyści dla siebie i przytem — prawie zawsze ze łzami w oczach, co właśnie stanowi główne niebezpieczeństwo jego łgarstw, niebezpie-

czeństwo, na które niestety bardzo niewiele zwraca uwagę, wskutek czego jest ono źródłem mnóstwa pomyłek.

Wreszcie szpieg rosyjski jest z natury zawsze albo nałogowy, albo próżny. Będąc nałogowym — zaczyna zwykle od wypitki, a następnie, stopniowo, zaprzyjaźniając się z przedmiotem swych obserwacji, przyjmuje nieznacznie jego zwyczaje i obyczaje. Śledząc złodzieja — ukradnie sam; szpiegując spiskowca — napisze sam proklamację... Sam też za to potem — ku własnemu zdziwieniu, dostaje się do ciężkich robót. Będąc próżnym lubi, aby go miano za człowieka szlachetnego, nazywano „masonem“, wyróżnianoi okazywano zaufanie. Ubóstwia łyż, i szaleje na widok skruchy!

Wyplacz błąd swój na jego piersi, powiedz mu przytem, że jest „masonem“ — przebaczy ci wszystko. Uprzedzi cię nawet w razie potrzeby... omawiając naturalnie z dodatkiem: „tylko niech to będzie między nami!“ Zresztą, natychmiast powie, temu i owemu: „to ja! ja go ostrzegłem! trzeba ocalić szlachetnego młodzieńca!“

Ale... spróbuj tylko powiedzieć mu, że nie jest „masonem!“...

I tak przechodzą lata, dziesiątki lat, a rzeczywiści, prawdziwi podsłuchiwcze nie rodzą się, jak się nie rodzą prawdziwi biurokraci. Nie przesądzam, czy to złe lub dobrze, czyśmy dojrzali lub niedojrzali, ale znam wielu, którzy i w tem pragną widzieć swego rodzaju *habeas corpus*.

Takiego rodzaju myśli pomimowoli przed-

publiczną obronę rozprawy nie do niej nowego nie wprowadza; cóż znaczą więc zarzuty odzywające się dopiero wtedy, gdy mają wielu słuchaczy? Dla czego ich oponent nie podnosi wówczas, kiedy powołany jest do głosu w naradzie uniwersyteckiej? Czy jest to chęć popisu? Naszem zdaniem, doktoryzacja publiczna wtedy tylko być może aktem poważnym, jeśli opozycja z urzędu nie zaprzeczając doktorantowi żadnego stopnia w zasadzie, stoczy z nim spór naukowy, oparty na różnicy poglądów, nie zaś na szykanowaniu i wytykaniu drobiazgów.

Wracając do doktoryzacji p. Dunina nie możemy jej przyznać takiego poważnego charakteru. Przedewszystkiem jeden z oponentów, który nie miał moralnego prawa opierać się przyznaniu godności naukowej, bo na nią przedtem się zgodził, usiłował skompromitować doktoranta na przekór zdaniu wszystkich niemal profesorów. Usiłowanie to tak dalece nie miało żadnego naukowego gruntu, że powiodło do sceny, która może jest jedyną w rocznikach naszego uniwersytetu. Najgłośniejszy zarzut był po prostu rozśmieszającym. Oponent wytoczył proces doktorantowi, że ten nie uwzględnił w swej rozprawie literatury rosyjskiej. Zapewnie nauka winna być wolną od uprzedzeń, dziwilibyśmy się też bardzo chemikowi, któryby pominął Mendelejewa lub prawnikowi, któryby nie znał Tagancewa. Ale co zrobić, jeśli w jakimś bardzo specjalnym przedmiocie pewna literaturą mażadnego znakomitego badacza? Czy p. Dunin obowiązany był stworzyć Virchow w Rosji albo uznać go w jakimś dziesięciordnym lekarzu? Nauka do takiej grzeczności nikogo nie zmusza. Nie dość tego; oponent nie tylko żądał od p. Dunina znajomości rosyjskiej literatury, ale nawet tworzenia nowych dla medycznego słownictwa wyrazów i służąc przykładem przedstawił kilka próbek własnego wyrobu. Wymaganie co najmniej

stawili mi się, w chwili, gdy mi się rekomendował Kołotów.

— A wie pan — rzekłem — dawniej, do prawdy, było lepiej. Nikt nie myślał o żadnych „usposobieniach“, isprawnicy nie zajmowali się polityką wewnętrzną, doskonałe!

— Tak, ale pan zapomina, że żyjemy dzisiaj w ciężkich czasach. Sądy uniewinniają osoby, które zwymyślały rewirowych cyrkulów, ziemstwa rozprawiają o seminariach nauczycielskich, o stowarzyszeniach robotników, o fabrykacji sera... A przytem namnożyło się aż do zbytku przedstawicieli porządku moralnego: co krok stąpieć — nieproszonego obrońcę. A każdy uważa sobie za obowiązek, przestrzedz, uprzedzić, zawiadomić, wskazać grożące niebezpieczeństwo... I jakżeż się tu nie lękać...

— A więc obecnie znajduje się pan w ekskursji, w przedmiocie „usposobienia umysłów“?

— Tak, jadę z Z., gdzie „według wiarogodnych wiadomości“ zasiadło całe gniazdo niedobromyślnych, i mam zamiar zatrzymać się tu aż do przyścia wieczorowego statku do L., gdzie, według tychże „wiarogodnych wiadomości“ zasiadło drugie całe gniazdo niedobromyślnych. Pojmuję pan, dwa gniazda, na przestrzeni 30 do 40 wiorst!

— Prawda, jakaż moc gniazd! My zaś, prostaczkowie, jeździmy, chodzimy, jemy, pijemy, usiłujemy — i nawet nie podej-

pocieszne, tem pocieszniesze, że sam twórca, jako czech, mówi okropnie po rosyjsku i do prawodawstwa w tem języku nie może rościć sobie żadnej pretensyi.

Nie dotykamy tu innych szczegółów tej niezwyklej doktoryzacji, w której spierało się o odsyłacze i omyłki drukarskie; nadmienimy tylko dla zupełnego scharakteryzowania jej, że podczas gdy bardzo mizerne rozprawy przepływają gładko i zyskują bez trudu dekoracye, sumienna, gruntowna praca p. Dunina wywołała burzę.

A może to właśnie dowód jej wartości?

Musiła jednak scena z p. Duninem pozostawić pewien niesmak, bo następna doktoryzacja p. Elzenberga przeszła spokojnie.

Obu kandydatom przyznano żądane tytuły. Już więc p. Dunin wspominając o doktorze Elzenbergu nie będzie potrzebował go „reklamować“ — która to sprawa także należała do przedmiotów publicznej dysputy.

M. S.

Z DZIEJÓW MĘCZEŃSTWA.

Gdy Loysel błagał trybunał rewolucyjny o zwłokę w procesie Lavoisiera, odpowiadano mu:

„Rzeczpospolita nie potrzebuje chemików.“

Słowa te możnaby wyrzeć nad bramą Olimpu wielkich duchów, które wdzięczna ludzkość... zamordowała.

Tak, nie tylko okrwawiona rzeczpospolita francuska, ale świat cały nie potrzebuje, nie tylko chemików, ale tych wszystkich geniuszów, którzy są naprzód jego hańbą, a później dumą. Niewielu mesjaszów uniknęło krzyża; droga na Golgotę jest zwykłą koleją ich życia. „Galileusz był przesładowanym, Palissy uwięzionym, Ramus zamordowanym, St. Dolet zginął w pło-

rzywamy, że wszystkie te nasze czynności odbywają się, że tak powiem, w samym odmęcie niedobromyślności!

— Tak. Ot naprzykład, przypuśćmy, pijesz pan teraz herbatę w restauracji, a naprzeciwko przy drugim stole pije inny jakiś jegomość. Nu, pan się patrzy na niego, rozmawiasz pan z nim otwarcie, jak z człowiekiem, który pije herbatę. Bac — a on niedobromyślny!...

— Ileż tu niebezpieczeństw!

— Niebezpieczeństw dziś dużo, a najgłośniejszem niebezpieczeństwem jest zły zwyczaj mędrkowania w rozmowie. Należy koniecznie zwyczaj ten porzucić i starać się mówić jaknajprościej, szczególnie zaś w restauracjach i w domach tolerowanych. Weźmy dla przykładu, choćby wyraz „asocjacja.“ W rzeczywistości wszedł on już tak w zwyczaj w literaturze, że nikt się go już nie lęka. Ale restauracye i domy tolerowane trzymają się jeszcze słownika akademickiego, do którego wyraz ten jeszcze nie trafił. Dlatego też, jeśli tam wymawia pan wyrazy: asocjacja, irygacja, aberacja — wszystko jedno: markierzy i istoty upadłe, zawsze zrozumieją, że pan szerzysz rewolucję.

— Zapiszę sobie pańską uwagę. Ale powiedz pan, proszę, czem właściwie zajmują się osoby, należące do stanu „niedobromyślnych“?

— Zajmują się, po większej części, niedobromyślnością; stąd właśnie wynika i sama nazwa „niedobromyślnych.“ W szcze-

mieniach stosu... Takim bywa, niestety, po większej części los tych ludzi genialnych, którzy od chwili gdy Sokrates wypił cykutę, porywali się do spełnienia zadań przedwczesnych i popełnili, według dowcipnego wyrażenia Kazimierza Delavigne'a, to kapitalne głupstwo, że mieli przedwczesnie... rozum.“

Biada tym, którzy mają ów rozum wtedy, kiedy go inni jeszcze nie posiadają; biada widzącym szerzej, czującym głębiej, znającym więcej, niż tłum, który ich otacza. Rzuci on się na nich jak stado szakałów a gdy rozszarpie ich ciało, uczuje smak ich duszy. Nieśmiertelny Lavoisier, ojciec dzisiejszej chemii, człowiek, który więcej może rozwiązał naukowych zagadnień niż jego przesładowcy popełnili głupstw, zginął oskarżony, że „do tytoniu mieszał ciała szkodliwe zdrowiu współobywateli.“ Naza jutrz po straceniu go, słynny matematyk Lagrange, dowiedziawszy się o tem, zawołał przejęty zgrozą: „Jedna chwila starczyła do ścięcia tej głowy, a sto lat nie starczy do wydania podobnej.“

Wszyscy znamy krwawe dzieje olbrzymów, Samsonów myśli, którzy wstrząsnawszy gmachem przesądów, padli przywaleni jego gruzami; ale nie znamy tych dobroczyńców ludzkości, których imiona zamilkły we wrzawie późniejszych o ich zasługę targów. Nieraz korzystając z nieśmiertelnych owoców ich pracy, nie troszczymy się nawet o pytanie, komu je zawdzięczamy. Czy też pomyślałeś kiedykolwiek czytelniku, przebiegający może te słowa przy świetle gazowym, kto ci je wynalazł. Filip Lebon zapalił pierwszą lampę gazową. Pewnego dnia — jak opowiada jego życiorys — rzucił garść trocin do fiolki umieszczonej nad ogniem; wkrótce wywiązał się z niej dym obfity, który nagle zapalił się jasnym płomieniem. „Od tej chwili przemysł objął w posiadanie jedną z najważniejszych zdobyczy.“ W nagrodę za to starano się zasługę wynalazku przy-

gólności zaś, prowadzą się nie po szlachecku. Tak naprzykład obywatel Anpietow zaprosił kilku włóścian, osiedlił ich razem ze sobą, przyjął ich sposób życia (tylko on pali papierosy Laferma a oni mahorkę) i sam na równi z nimi orze ziemię.

— Sam orze?

— Sam w pierwszym plugu i przy pierwszej kosie. Korzyści jednak dzielą najzupełniej zgodnie ze wskazówkami nauki ekonomicznej; naprzód wyliczają procenty na kapitał zasobowy i obrotowy (te procenty niedobromyślnie bierze na swoją korzyść, potem odkładają pewien procent na wynagrodzenie za pracę, zużyta przy przedsiębiorstwie (procent ten również bierze niedobromyślny, w charakterze przewodnika robót); następnie, pozostałość składają do wspólnej kasy.

— Hm... więc ceni kapitał?

— Nawet bardzo ceni.

— I cóż... Ach, rozumiem! „Pozostałość składają do wspólnej kasy“ — a więc... i leniwy i dzieln... Tak! to tak! Ależ to prawie toż samo, co „droit au travail.“

— No, do tego jeszcze daleko! Oni to tłumaczą daleko prościej; naprzód drobiazgowością rachunków, a powtóre tem, że jakas tam dwudziestówka nie warta zabiegów. Wszak przy tym systemacie każdy stara się czynić wszystko możliwe, aby tylko czysty zysk powiększyć; czyliż przeto należy zmniejszać płacę człowiekowi, który wykosił o jeden lub dwa funty trawy mniej od drugiego?

znać przypadkowi. Daremnie. Od początku świata jabłka spadały a lampki w kościołach chwiały się — dopiero jednak Newton odkrył prawo przyciągania, a Kepler — wahadła. Niejeden również palił trociny — ale Lebon jedynie wydobyl z nich gaz oświetlający. Jak przystało na wielkiego człowieka został... zamordowany.

Siadając na statek parowy, ani przypuszczając, jaka niedola go wykołysała. Ojciec jego, Dyonizy Papin przeszedł do nieśmiertelności w cierniowej koronie. Odtrącany, prześladowany, pozbawiony wszelkiej pomocy, będąc w Niemczech, zbudował sobie statek, mimo zakazu burmistrza z Münden, postanowił popłynąć do Anglii. Dnia 24 września 1707 r. wsiadł na niego z żoną i dziećmi oraz kilkoma lichymi sprzętami, które stanowiły cały jego majątek, i dotarł aż do miasta Loch. Ale tu zagroziło mu dalszą drogę stowarzyszenie przewoźników, upominających się o swoje przywileje. Zrozpaczony Papin protestuje, opiera się; napróżno wzywa ratunku mieszkańców; przewoźnicy rzucają się na statek i burzą zaciekle maszynę wraz z kołami wobec osłupiałego starca. Dzięki temu napadowi rozwój żeglugi parowej opóźnił się tylko o całe... stulecie. Papin umarł w nędzy. Podobny los spotkał jego następcę Johna Fitcha, który zdruzgotany zawodami, rzucił się w to samo morze, którem zawładnąć pragnął. Znaną jest historia trzeciego wynalazcy w tym sławnym rzędzie, Fultona, który chciał sam pokonać Anglię swymi podwodnymi statkami a wywołał tylko szyderczy uśmiech Napoleona I, najgrawjącego się z pomysłu waryata. Nie dziwny się jednak zaślepionemu pogromcy Europy. Jeszcze Thiers twierdził, że gdyby zażądał od Izby koncesyi na kolej do Rouen, zrzuconoby go z trybuny, Arago zaś nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby ludzie przejeżdżali przez tunele.

A teraz, czytelniczki, posłuchajcie dziejów maszyny do szycia, którą może uwa-

żacie za pieszczochę losu, powitaną oklaskami. Twórcą jej był syn farbiarza a później krawiec, — Bartłomiej Thimonnier. Nie odebrawszy żadnego wykształcenia, nie posiadał najelementarniejszych nawet zasad matematyki. Przez cztery lata, z trudem zarabiając na chleb dla rodziny, cały czas spędzał w odosobnionem mieszkaniu, zajęty nikomu nieznanej pracą. Skutkiem tego zaniedbał warsztat, utracił kredyt i zyskał opinię waryata. Nareszcie w r. 1829 wynajduje maszynę do szycia. Chwilowo błysła mu nadzieja: dostaje się do Paryża i rozpoczyna urzeczywistniać swój pomysł na szeroką skalę. Rozjątrzeni jednak robotnicy wdzierają się do jego zakładu, niszczą wszystkie przyrządy a wynalazcę zmuszają do ucieczki. Dalsze niepowodzenia przywiodły go do nędzy. Pieszko wracał do rodzinnego miejsca z maszyną na plecach, której cuda pokazywał po drodze dla zarobienia na chleb. Żywiła ona go tak, jak sabaudezyka małpa lub swierszcz alpejski. Jeszcze raz dźwignął się, umarł jednak ubogi.

Jeżeli praktyczne, dotykalne twory geniuszu ludzkiego rodziły się i dojrzewały w takiej poniewierce, to jak się dziwić, że mniej uchwytnie przechodziły przez zniewagi i męczeństwa, że Kepler dla chleba musiał układać kalendarzyki i horoskopy, że Estienne był prześladowany za wydrukowanie Starego Testamentu w dużym formacie a Nowego — w małym, że nieprzyjaciele jego słynnego następcy obwołili go miesciec swinię, na której grzbiecie wypisane było nazwisko spalonego później Stefana Doleta?

Wobec tych okrucieństw zrozumieliśmy wydadzą nam się kławe karty pamiętnika Campanelli. „Zamknięto mnie — pisze — w pięćdziesiątem więzieniu i siedem razy poddano najsroźszej torturze. Ostatnim razem męczarnie trwały czternaście godzin. Skrępowany silnie sznurami, które mi łamały kości, zawieszony z rękami,

związany na grzbiecie, nad ostrym pałem drewnianym, który mi zniszczył szóstą część ciała, utraciwszy dziesięć funtów krwi, uzdrowiony cudem po sześciomiesięcznej chorobie, wrzucony zostałem do lochu. Piętnaście razy stawałem przed sądem. Za pierwszym razem, gdy mnie spytano: jak możesz wiedzieć to, czegoś się nigdy nie uczył, czy masz na rozkazy szatana? — odpowiedziałem: aby nauczyć się tego, co wiem, użyłem więcej oleju, niż wy wypiliście wina. Innym razem znowu obwiniono mnie o autorstwo pamfletu drukowanego na trzydzieści lat przed moim urodzeniem... Oskarżano mnie o bunt i herezję, gdyż utrzymywałem, że istnieją plamy na słońcu, księżycu i gwiazdach, wbrew Arystotelesowi, poczytującemu świat za zwieczny i nieulegający zepsuciu. Z tego też względu wrzucono mnie, jak Jeremiasza, w zapadłe jezioro bez powietrza i światła.“

Tego krwawego piętna nie zmyją z czoła prawowierności wszystkie jej święcone wody.

Zamykając te okropne wspomnienia wskrzesimy z ich grobu jednego człowieka, który chociaż cudzoziemiec, ma szczególne dla naszego kraju znaczenie. W r. 1810 Napoleon I, chcąc zadać ostatni cios przemysłowi bawelnianemu anglików, ogłosił konkurs z nagrodą miliona franków za najlepszą maszynę do przędzenia lnu. Do turnieju stanął i zwyciężył Filip Girard. Rząd, przerażony tym kosztownym tryumfem nieznanego człowieka, uciekł się do oszustwa: rozdzielił nagrodę i zażądał dodatkowo, aby nie miała 400.000 metrów długości w jednym kilogramie wagi. Girard zaprotestował — milionowa obietnica znikła, gdy przyszło do wypłaty, i nie uchroniła nawet wielkiego wynalazcy od więzienia za długi. Zniechęcony udał się do Austrii, gdzie stał się twórcą żeglugi parowej na Dunaju. Ale i tu nie znajdując przyjaznego gruntu, wyjechał do Polski

— No więc cóż stąd... zresztą, istotnie, dziwne bo jest — obywatel, i sam orze!

Wszakże z drugiej strony, może nie potrafi do niczego innego zastosować swej pracy? Może właśnie jego miłość własna na tem polega, ażeby stać przy pierwszym pluğu i przy pierwszej kosie? Wszak pan wie, że na przykład Ludwik XVI szczylił się tem, że był wyborym tokarzem?

Ja sądzę nawet, że sam systemat wynagradzania robotników, w formie współudziału w czystym zysku, jest rzeczą bardzo podejrzaną, gdyż tym sposobem zmusza się robotnika do sumienniejszej pracy, przez co ubocznie współdziała podwyższeniu wartości ziemi. To jest, znowu wzbo-gaca się kieszeń właściciela kapitału.

— Wszystko to możliwe, a jednak „jakoś dziwne.“ Pamięta pan, Ostrowski ma dwie słabe strony: szlachtę i kupiectwo. Wyobraź pan sobie, że kupiectwo zaczyna ni stąd ni z owąd działać po szlachecku — wszak to hanba? Tak i ten. Przzyrzeczaliśmy się wyobrażać sobie właściciela ziemskiego, albo odpoczywającego, albo pijącego herbatę na łące, lub też łapiącego karasie w stawie, albo spędzającego czas w kole miłych gości — a w tem i — pierwszy pluğu! Nieprzyzwoicie! Nieprzystojnie! Oburzając...!

— Ale wszakże dziś znaczna część „gniazd szlacheckich“ dostała się w ręce kupców, skupniów, leśników; a więc i same sposoby rozporządzania własnością ziemską, siłą wypadków, zmieniły swą postać?

— Tak niby, ale i skupnie starają się dziś postępować „szlachetnie.“ Siedzą w cieńcu, piją herbatę, smarzą konfitury, a w chwilach odpoczynku okpiwają chłopków.

— Przez kogóż pan otrzymuje te wiadomości o usposobieniu umysłów?

— Czyliż mało dymisyonowanych poruczników, sztabs-kapitanów, sekretarzy gubernialnych i kolegialnych, włóczących się bez zajęcia? Wszyscy oni dziś mają się za przedstawicieli porządku moralnego i waliki. Żyją oni wprawdzie mizernie, i chłodno i głodno, ale jakoś do rzeczy nie mogą żadną miarą trafić. Ot już od czasu zniesienia pańszczyzny „wiszą w powietrzu.“ Ani do uprawy, ani na sędziów pokoju — nigdzie ich nie dopuszczają. Niech ich tylko zabalotują — zaraz zaczynają zlekka dotykać to tego, to owego, z tej partii, która tryumfowała na wyborach. I zaraz — przestrożka!..

— Jednak, istotnie, jaka się tu marność u was zagnieździła!

— Najwięcej z biedy i zmartwienia. Jakie ci obrońcy porządku moralnego mają folwarki, czem się w nich karmią, w jakich siernięgach chodzą — trudno sobie nawet wyobrazić! Nędzny to naród — plotkarz naród. Zaraz zapoznam pana z pewnym kapitanem tego gatunku. Kiedyś służył tu z wyborów, potem był pod sądem za ukrycie zabójstwa i został wypędzony ze służby; następnie zasiękl swą dziewczkę folwarczną, znowu był pod sądem i zostawiono go w podejrzeniu... Słowem, cała lista stanu

służby. A teraz, podtrzymuje „dobre zasady.“ A przytem jaki rzutny — co tydzień wiadomostka!

— I pan wierzy tym plotkom?

— No, ja to właściwie z punktu humorystycznego...

— Za pozwoleniem! Ależ przecie pan powinien zdać raport... no choćby otem, co ma dziś nastąpić?

— Raport? A pamiętam, u pana nawet wypadło mi odejmować wyrażenie „czekać postępów.“ Więc otóż, w tem samym wyrażeniu koncentruje się program wszystkich mych raportów, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Powiem nawet więcej: swój raport mógłbym najwygodniej napisać we własnej rezydencji K-skiej, nie przyjeżdżając tutaj. I jeżeli mnie pan tu widzi, to jedynie tylko dla skonstatowania mej obecności.

Znowu bystro spojrział mi w oczy; postarałem się skorzystać z tej sposobności, by pochwycić w jego rysach choćby cień zmieszania. Ale niestety nie podobnego dostrzedz nie mogłem.

Bywają ludzie, którzy narzucają sobie bystrość dla zamaskowania pewnej trudności położenia, ale w Kołotowie, nie istniało, na pozór, ani odrobiny myśli o jakiejkolwiek trudności. On najzupełniej szczerze cieszył się dobrym humorem i dowiecipkował na własny rachunek wcale bez przymusu i wesolo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

dla założenia przedziałni, noszącej do dziś jego nazwisko (Żyrardów). Obok tego kraj nasz zawdzięcza mu wiele innych użytecznych wynalazków: przyrząd do wytłaczania i odparowywania soku burakowego; koło hydrauliczne do użytkowania z wielkich spadków wody; udoskonalenie metalurgii cynku; urządzenie na fasadzie Banku Polskiego ciepłomierza i meteorografu w Obserwatorium astronomicznym; przyrząd do wyrabiania łoża strzelb; maszynę do nadawania ruchu obrotowego ciałom kulistym; systemat ogrzewania powietrza w wysokich piecach; wielkie maszyny parowe bez wahadła; wiele przyrządów hydraulicznych i astronomicznych; maszyny do rozkręcania i przedzenia pakul lnianych; dynamometr kontrolujący; wreszcie maszyny do wyrobu cegły, do młócenia zboża i wyciągania drutu żelaznego.

W r. 1844 Girard wrócił do Francji, a w następnym umarł, dokończywszy życia z małej emeryturki i jałmużny.

Wszystkie te krwawe, rozdzierające lub smutne obrazy przesunęła znowu przed naszą myślą świeżo wydana w polskim przekładzie i drzeworytami ozdobiona książka Gustona Tissandiera p. t. *Męczennicy w imię nauki* (Warszawa, Gebethner i Wolff). Chociaż niedolę wielu bohaterów wiedzy przecenia (Tycho Brache), a wielu niesłusznie palmę męczeńską przyznaje (Descartes), jestto jednak galerya widoków tak wymownych, tak pouczających, tak wrzynających się w pamięć czytelnika, że witamy ją w naszej literaturze z prawdziwą radością. I u nas — jak to zresztą wykazuje jeden z artykułów obecnego numeru *Prawdy* — i u nas „rzeczpospolita nie lubi chemików.“ W martyrologii naukowej niema ani jednego męczennika polaka, prócz może nieszczęsnego K. Łyszczyńskiego, którego spalono, zanim zbuntowana jego myśl dojrzeć zdołała; taka więc książka, która budzi cześć dla geniuszów, dodaje odwagi duchom walczącym, wyrabia chęć i zdolność do poświęceń a wreszcie wykazuje płodność tych cierpień, taka, mówimy, książka jest w literaturze orzeźwiającem technieniem. Jej przekład? Nie mając oryginału pod ręką, nie możemy sprawdzić kilku wątpliwości; ogółem jest gładki i czysty.

A. S.

POEZYJE MARYI KONOPNICKIEJ.

(Warszawa, Gebethner i Wolff).

Na kwiecieście niwy poezji refleksja wlewa się obfitym strumieniem. Przewaga myśli nad obrazowością, idei nad plastyką, rozumowania nad uczuciem — jest cechą, wydatną w najnowszych płodach mowy bogów. „Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdobyć“ — tak się zaczyna *Credo* w poezjach pani Konopnickiej, która jest nową a prawdziwą, choć trochę mglisto świecą gwiazdą na horyzoncie pieśni naszej. W jednym z *Fragmentów* poetka wypowiada długą deklamacyjną odę na cześć duchowego powołania poety i myśliciela, w którego roztaczając nad pierwszym aureolę czci, drugiemu jednak przyznaje donioślejsze posłannictwo „odkrywania dróg przyszłości.“ Idea w poezji pani Konopnickiej pojawia się już to jako siłazywotna, budząca ogień potężnego zapалу, już to jako ujęte w sym-

boliczny kształt skojarzenie pojęć oderwanych; — refleksja zaś występuje jako smętna zaduma nad niedolą świata, jako skarga na wewnętrzny rozdzźwięk, jako natrętne pytanie ciemnej zagadki istnienia a tonące w niem bez odpowiedzi. Wszystkim oskarżycielom wieku naszego, wszystkim łzawym adwokatom, wytaczającym mu proces za nieposzanowanie dawnych ideałów, poetka odpowiada w przepysznym *Fragmentcie* (str. 147), którego każdy wyraz brzmi potężnie a rzeźko, jak pobudka bojowa. Jest to druzgotanie jowiszowe wszystkich kwaśno-smętnych maroderów idealizmu, którzy w nieskończonych odmianach wyspiwują skargi na urojone i prawdziwe grzechy stulecia. Tym mazgajom i marzycielom bezpłodnym powiada z mężką siłą kobieta, żeby „znaleźli ton, co tętnem jest stulecia“ a „ona da im milion sere wrzuszonych.“ Rada wyborna, wypowiedziana energicznie; ale czy łatwa do wykonania dla samej poetki? Niezawsze. To pewno, że tego tonu szuka ona usilnie, że potrąca często pokrewne dźwięki, ale jej talent nadto jest idealistyczny, nadto wypiastowany w sferze abstrakcji i marzycielstwa, nadto pochodem myśli oderwany od życia, aby mógł być zawsze rzecznikiem „tętna stulecia.“ Poetka zstępuje często z wyżyn, w których jej umysł lubi przebywać, na padół nędzy społecznej, ale jej *Obrazki* dowodzą, że współczuje z nią teoretycznie, że nie zasila swych utworów poezji obrazami dobrze schwycenymi z życia, że nie umie o skargach niedoli społecznej mówić, jak należy „prostu a z krzykiem“ Chcąc oddać boleść nędzarki, którą nędza zmusza do rzucenia dziecięcia na bruk uliczny, poetka deklamuje bardzo patetycznie i każe na końcu „myślicielowi“ dumać o tem, *co pocnie matka, zastanawiać się nad ciemnością zagadek życia*. Inne poezje, natchnione głęboką sympatią dla niedoli ludzi pracy, zmuszonych ponosić bolesne cierpienia dla utrzymania biednej egzystencji (*Wolny najmity*), żalące się nad ciasnotą duchowego horyzontu niewolników pracy (*Sobotni wieczór, Czymarzą?*) wreszcie natchnione humanitarną myślą obrazki (*Przed sądem, Zwiejskiej szkółki, Bez dachu*) pomimo istotnych piękności, pomimo szczerze demokratycznego ducha, grzeszą pewnym niedostatkiem realizmu, który jest koniecznym w tego rodzaju utworach, gdyż inaczej poeta nie osiągnie zamierzonego w nich celu, nie poruszy słuchacza wymownym deklamacyjnym frazesem, nie pociągnie jego umysłu obrazem nietrafnym, albo rozplwającym się w krasomówczej pianie.

Gdy poetka wypowiada ogólniejszą myśl społeczną, wtedy pierś jej pełniejszemu brzmi tonem, jak w owej pięknej *Jaskółce*, która symbolicznie przedstawia nowy prąd świeżych myśli postępowych, płynących z zamorza i budzących w dworach wiejskich współzacznie nad nędzą i ciemnotą ludu, albo w przesłicznym *Fragmentcie* (str. 255), gdzie porównywa nędze społeczne w dawniejszym klasycznym świecie z nędzą dzisiejszą, jęczącą w ucisku pomimo chrześcijańskich godeł cywilizacji. Jest to jeden z najgłębszych utworów poetki, która bardzo słusznie rzuca pytanie: czemu niedola słabych i upośledzonych jest tak wielką w świecie, który się nazywa chrześcijańskim, a który jest tak dalekim od społecznych ideałów chrystyanizmu, głoszących powszechną równość i braterstwo? Taka skarga nie jest czczem i marnem kwileniem, ale protestem, pełnym głębokiej a usprawiedliwionej goryczy, nastrojonym na ton, który coraz to mocniej brzmi w akordach współczesnej symfonii świata. Tonem tym dźwięczą także słiczne poezje *Z dni smutku* w których autorka woła potężnie: „O dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi“ i w duchu swego idealnego deizmu rzuca w błękit niebios skargi na wszystkie cierpienia ludzkości, tak niepokodzone z ideą miłościwych rządów świata. W dru-

gim fragmencie owych poezji smutku słyszemy rozdzierające, głęboko bolesne wykrzyki:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli,
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna jako oceany
A taką straszną, jak rozwarne rany?

Poetka nie dlatego jednak mówi o nieszczęściach i nędzach dziejowych, aby kłać i złorzeczyć światu, ale od głębokich, gwałtownych dźwięków goryczy przechodzi do gorącego pragnienia lepszej przyszłości a w duchu swego *credo* wygląda chwili, w której „światło zwycięży otechlanie.“ Wkrótce jednak poetka otrząsa się ze smutku, podnosi zażawione oczy ku niebu i w *Modlitwach wiosennych* wygłasza szereg lotnych hymnów, tchnących pogodną nadzieją, błagających o siłę i szczęście dla ludzkości. Czasami wprowadzie gorycz jej duszę zaleje, czasami zapytuje, *Czy warto: płakać nad ranami ziemi, które są bez ratunku?* Pytania niespokojne a bolesne tłumnie cisną się w jej głowie, błędne myśli śle w przestrzeń mglistą, nie słyszy nigdzie odpowiedzi a zagadka losu ukazuje jej tylko swe sfinksowe oblicze (*Co to jest życie?*), dumająca a zboląła czuwa *W krainie nocy*, a wątpliwości i zagadki otaczają ją tłumnym orszakiem. Chwilowy niepokój jednak ustępuje zbyt optymistycznej nadziei, gdyż poetka na chwilę mniema, że gdy stanie oko w oko z tajemnicą... duch jej przejrzy to, co niezbadane. Podobne przeskokki od goryczy i zwątpienia do słów pokrzepiającej nadziei i wiary w lepszą przyszłość są zjawiskiem pospolittem w obecnej generacji poetów, którzy nie mogą dojść do wewnętrznej równowagi. Dumając nad losami myśli ludzkiej, poetka widzi, że walka na której ścierają się różne jej prądy jest *najkrwawszym polem*, i wzdycha niepotrzebnie do Boga, aby koniec temu bojowi położył i sprowadził spokój, który byłby martwością. Gdy ją kto pyta, dla czego dręczy się wątpliwościami, odpowie: *Nie dziw się, że śmiem pytać Boga o losy cierpiącego świata, ponieważ dzisiaj nie jest pewnem, niezmiennem i prawdziwem. Sama, szarpana wątpliwościami, ma jednak słowa pokrzepiającej przestrogi dla tych, którzy umieją tylko biadać nad niedolą (Ty się nie skarż), i pociesza ich, że przyjdzie czas tryumfu dla wszystkiego, co słabe i poniżone, co ginie marnie w wielkiej wrzawie świata.*

Zstępując z wyżyn wielkich zagadnień umie nareszcie w przedudownym wierszu *Do kobiety* z porywającym i poetycznym zapalem nakreślić jej drogę powołania w rodzinie zgodne z potrzebami dzisiejszego czasu i tłumaczy katechizm miłości wzniosłym językiem obowiązku.

Te wszystkie utwory, nacechowane znamięnieniem idei, stanowią najlepszą część ogólnego zbioru, wypełnionego zresztą wierszami liryczno-opisowemi rozmaitego nastroju, których znaczenia bliżej tu określać nie będziemy, chwytając tylko górujące rysy twórczości poetki. Mamy tu cykl opisywowy *W górach*, będący panoramą wzniesień, ale luźnych obrazów, oplecionych liryką, wśród których przewija się czasem nuta ludowej pieśni, przefantazywana misternie jak w szopenowskich marzeniach muzycznych. Tu i owdzie płaczą się lotne i delikatne sploty sielanki (*Idylla, Echo majowe*), albo snuje się *Romans wiosenny*, będący, na wzór w *Szwajcarii* Słowackiego, przesubtelnym poetyzowaniem uczuć miłosnych na tle powabów natury, swojej i prostej. W dziedzinie epicznej talentowi p. Konopnickiej brak wyrazistości. Dwie powieści rzymskie: *Tarcza Scypiona* i *Klaudya*, niejasne w układzie, pomimo tu i owdzie świetnego obrazowania, grzeszą zupełnym brakiem klasycznego rytmu, nadmiarem refleksji i obłocznej mglistości, która zresztą rozpościła się niepotrzebnie nad wieloma innymi utworami.

Pomijamy inne utwory czysto egotyczne-go charakteru, oraz piękne idealne marze-

nia, aby rzucić okiem na ogół poezji wypełniających tom obszerny. Wieje z nich duch podniosły, czysto idealny, tętnący głęboką miłością dla prawdy i swobody ducha, współczującą z niedolą biednych i uciśnionych. Myśl szlachetna, która unosi się nad nędzami życia, serce gorące, co pragnie szczęścia dla wszystkich, łączą się tu w harmonii wzniosłych pragnień godnych poetki prawdziwej, zasługującej na kapłańskie pomazanie w świątyni sztuki. Umysł jej silnie przejęty duchem czystego deizmu, wrażliwy na ogólnie ludzkie zagadnienia, pomimo całego marzycielstwa i elegijności zwraca się śmiało ku jasnym jutrzniom swobody, ku wielkim sprawom i cierpieniom chwili dzisiejszej. Wolny od przesądów, chociaż nieprzejęty dzisiejszymi ideami filozoficznymi, szamocze się czasem w wewnętrznej walce, ale niema nigdy porywów wstecznych, nie staje w poprzek pragnieniom bezwzględnej swobody myśli, nie wyklina jej i nie zlorzeczy. Pod względem siły twórczej odznacza się poezja p. Konopnickiej wielką energią, zapalem i śmiałością polem myśli, którym bynajmniej nie dorównywa płodność fantazyi. Pomimo widocznej tu i owdzie zdolności do obrazowania, umysł jej nosi na sobie piętno abstrakcyjne i nie okazuje tego bogactwa wrażeń, bezpośrednio chwytanych z rzeczywistości, tego skupiania ich w poezji, które nadaje taką barwność i siłę kolorystyczną poetów, czerpiących żywotne soki ze źródła realizmu. Poezja pani K. nigdy prawie nie jest przedmiotową. Autorka rzadko stara się o potęgę plastyczną, ale zwykle pragnie wypowiedzieć wewnętrzne burze i troski, albo z gorącym apostołskim zapalem wygłosić myśl podniosłą a płodną. Dla tego też przy widocznym niedostatku plastycznej fantazyi poezja staje się tutaj po większej części piękną wymową i płynnie w toku przeważnie krasomówczym. Gdy zapak jest gorętszy, tętni ona energią, sięga wyżyn wzniosłości, ale często także wpada w niepotrzebną patetyczność, staje się deklamacyjną, i tonie w zbytniem wielosłowniu, albo z powodu ciągle podniesionego nastroju wpada w jednostajność, która przy czytaniu większego zbioru często jest nadto nużąca. Idealność autorki nie ma ruchliwej zmienności tonu i kolorytu, którą odznaczają się poeci realni i przedmiotowi. Ogromna swoboda i łatwość tworzenia widoczna jest w formie zawsze świetnej, dźwięcznej, harmonijnej, już to płynącej jasnym strumieniem, już to rozpryskującej się na migotliwe błyski. Zsumowawszy wszystkie *za* i *przeciw*, widzimy że pani K. jest niepospolitą indywidualnością twórczą, a obok Asnyka — wybitną wyrazicielką poezji, niepokłóconej z duchem czasu. Talent jej potrzebuje jeszcze pod pewnym względem zmęczyć, nabrać więcej jedności, ale dzisiaj ma już niezwykłą siłę. Że on rośnie, świadczy o tem najnowszy utwór poetki *Ja się nie skarzę*, pomieszczony niedawno w *Bluszczu* a należący do prawdziwych pereł liryki. Jest to jeden z najśmielszych podrzutów poetycznej myśli, która ulatując nad niedolami życia wyraża w duchu deizmu głęboką ironię sprzeczności nędzy świata z pojęciem o sile i wielkości jego władcy. Utworu tego niepowstydziliby się pierwszorzędnym mocarz poezji.

J. K.

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

jako krytyk literacki.

(Dokończenie).

W studium o Polu, po świetnym wstępie o prawach krytycyzmu, Spasowicz charakteryzuje epokę, która wydała poetę i jej skierowanie ku religijności „tryumfującej

po wszystkich umysłowych rozbiciach,“ dopatruje w jego umyśle cechy wyniosłej martwoty, ślepego przywyknienia do form starych, do pojęć skryzalizowanych, skupia rysy wstecznej, zakamieniałej niechęci przeciwko wielkim prądom swobodnym, liberalnym. Następnie trafnie okazuje w Polu dziedzica messyanizmu i eposu szlacheckiego, otrzymującego ten spadek po poezji romantycznej, odznacza dwie fazy jego działalności rozgraniczone rokiem 1846, a rzuciwszy o pierwszej kilka tylko dość niewystarczających poglądów poświęca drugą ocenę historyzmu Pola a raczej jego fałszywych ideałów dziejowych, i streszcza świetnie jego znaczenie w literaturze jako „poetycznego antykwaryusza.“

Pomijając szczegóły przyznać należy, że krytyka o Polu ma znaczenie przeważnie pod względem ujemnym, jako spokojna a niepodległa analiza jego społecznych ideałów. Ci którzy chcą obronić autora gawęd starszylacheckich jako obiektywnego malarza znajdują tu obfitą ilość dowodów, że Pol stawiał po za obrazami idee, przeciwko którym walczyć musi niepodległy krytycyzm w imię postępu i swobody myśli. Sąd o Polu tak wyłączone zawarł Spasowicz w ramach społeczno-dziejowych, że indywidualność artysty mniej wyraźnie zarysował aniżeli w studium o Syrokomli, którego także głównym rezultatem jest ocena stanowiska poety w stosunku do zagadnień ogólnie ludzkiego postępu. Kwestye artystyczne, dzieje fantazyi obu poetów, cała jednym słowem psychologia estetyczna w obu studjach stoją na drugim planie. Poznajemy doskonale wartość poetów jako działaczy społecznych, ale charakterystyka ich artystycznej mocy jest bardzo skąpa, opartą załadwie na kilku doraźnych rysach, wskutek czego brak obu portretom a szczególnie drugiemu, tej artystycznej wyrazistości, tego schwywania na gorącym uczynku roboty umysłu i fantazyi jaka cechuje wizerunki literackie Taine'a albo Brandes'a. Wskutek tego studium o Polu rzeczywistość podlega zarzutowi, że pominięto wysokie estetyczne przymioty utworów poety, a cały epilog odskakuje tu nagłym optymizmem od poprzedniego rozumowania. Po tem, co Spasowicz powiedział o ogóle utworów Pola, wyłącza-
jąc „Pieśni,“ „Obrazy z życia i podróży“ i „Mohorta“ trudno pojąć dlaczego nazywa go „mistrzem wielkiej ręki,“ a jeszcze trudniej przyznać razem z krytykiem, że żaden poeta nie oddał z większą mocą podniosłego „pragnienia czegoś wyższego nad poziomą rzeczywistość, rwaną się ku czemuś idealnie doskonałemu.“ Wydzieliwszy z poezji Pola uczucie patriotyczne, będące najświetniejszym jej klejnotem, trudno doprawdy na jego pełnych brawury, werwy, kolorytu, ale tak często tętnących fetyszyzmem dla błędów przeszłości gawędach, wypisać hasło: *Excelsior!* Sam Spasowicz doskonale dowiódł, że poezja ta rozgrzewała serce miłością kraju ale usypiała myśl apoteozą kastowości, idealizowaniem burdy i batoga. Jeżeli Polowi wyznaczymy miejsce zaszczytne w rzędzie duchów, rwących się ku wyżynom, to gdzieś pomieścimy Goethe'go, Byrona i całą trójcę naszych wielkich wieszczów. Pogląd ten pojawia się więc w epilogu studium Spasowicza w sposób niewytłomaczony, tembardziej, że o parę wierszy dalej mówi krytyk bardzo słusznie o szkodliwym zacołaniu się poety, któremu z drugiej strony przyznaje rolę stróża wielkich pamiętek.

Od obu prac o naszych poetach studium o Hamlecie wyróżnia się bardziej wszechstronnem wyczerpaniem kwestyi i wiążących się z przedmiotem. Ponieważ nie chodzi nam o szczegółową kontrolę poglądów krytyka, powiemy tylko, że główną tu jego zasługą jest zupełna niepodległość wobec dotychczasowych badaczy i obranie jedynie właściwej metody krytyki, opartej ści-

śle i bezpośrednio na samym tekście arcydzieła, niezapuszczającej się w dopełnienia i wątpliwe hipotezy, pomimo całej szerokości poglądów. W drugiej zwłaszcza części tej pracy Spasowicz poprostu zdumiewa śmiałością a trafnością poglądów, wyjaśniając z wielką prostotą kwestyę braku działania w tragiedyi, rozumując znakomicie cały wątek psychiczny dziejów bohatera. Szczególnie oslepiająco jasne światło rzuca na moralną atmosferę tragedyi, na cały świat społeczny otworzony przez poetę, wyjaśniając doskonale naturę jego wszystkich postaci. Krytyka jego jest tu dla tego tak znakomita, że zrywa z wszelką estetyczną rutyną, ze sztucznym pogłębianiem pomysłów poety, z zaciekaniem się w możliwe intencye, że staje śmiałym ruchem swobodnej myśli niezależnie od wielkich komentarzy i opiera się na dobrem, bezpośrednim badaniu poety w świetle krytyki dziejowej i filozoficznej. Najślabszą stroną studium jest jego wstęp ogólny zawierający dość niejasne określenie poezji, w którym pojęcia realistyczne miesza się z kantowskim formalizmem. W ogólne teorie ogólnie estetyczne we wszystkich studjach roztopiają się w niejasnym obrazowaniu i nie mają bynajmniej wyrazistości. Rzecz inna gdy krytyk rzuca śmiało, daleko sięgające poglądy dziejowo-literackie, gdy jednym ruchem myśli zwała uprzedzenia i rutyniczne nałogi, gdy kilkoma zdaniem objaśnia genezę wielkich momentów poetycznej twórczości. Pod względem zewnętrznego postaciowania studium jego brak cokolwiek jasności w układzie, brak wyakcentowania bardzo ważnych zasadniczych poglądów, często potrącanych tylko ubocznie. Myśl jego śmiała, oryginalna niezawsze biegnie prosto, czasami skręci na bok, błysnie gzygakiem albo utonie w obrazach. Podobnie jak u Taine'a, tok treści i stylu płynie obrazowo, posiada sobie właściwą jedność, moc, mięsistość, czasem nawet staje się trochę chropawym z powodu zbyt wielu zwieżeń. Właściwości stylu dopełniają tego wrażenia krzepkiej i niepodległej oryginalności, która przeciwstawia się dosadnie wielkiej rutynie i nie znosi utartych komunalów. Chociaż niezawsze wszechstronny Spasowicz umie na przedmiot rzucić światło, ukazujące nowe a nieznane strony, jednak zaliczamy go do prawdziwych potęg krytycznych. Nikt głębiej od niego nie objaśnił społecznego znaczenia utworów poezji w świetle nowych postępowych idei, nikt nie stwierdził dowodnie tej prawdy, że płody literatury są to produkta życia, dla objaśnienia których nie wystarczają frazeologiczne deklamacye albo wyroki, oparte na paragrafach akademickiego kodeksu.

CALDERON.

(1601—1687).

O ile prawdą jest, że poezja dawnego narodu stanowi najwierniejsze zwierciadło jego zwyczajów i obyczajów, poeta zaś — najlepszego tłumacza jego ideałów, to prawda ta nigdzie może nie znalazła sobie większego zastosowania, niż w utworach Calderona, którego dwóchsetną rocznicę śmierci obchodziła Hiszpania i z nią cały świat ukształcony, przy końcu zeszłego miesiąca. W istocie, mówić o Calderonie a nie znać dziejów Hiszpanii, rozbierać utwory tego poety, i nie wiedzieć, jakie są główne, charakterystyczne cechy hiszpanów, jest to wpatrywać się w skutek, nie znając przyczyny.

Żaden kraj może nie był, w swym historycznym rozwoju, narażony na tyle społecznych przewrotów, żaden nie przeniósł ich

cierpliwiej, na żadnym one nie odcisnęły tak głębokiego piętna, jak Hiszpania.

Przypomnijmy sobie jak długo grunt jej był drogą, przez którą ludy Europy, najodmienniejszego nieraz pochodzenia, odbywały pielgrzymkę swoją do Afryki; ile czasu żywił, obcy zupełnie charakterem swym i zwyczajami (Arabowie), trzymał ziemię tę w nieograniczonym posiadaniu; przez ile wieków szczerp germański, zmieszany tu bardziej niż gdzieindziej z romańskim oraz domieszkami azjatyckimi, usiłował zagarnąć w ręce swoje berło, które mu wyrwano; jak dziwnym i niespodziewanym zupełnie trafem, Hiszpania od razu, przez odkrycia Kolumba i przejście następne pod panowanie Karola V-go, została wyniesioną w Europie do godności przodownika ich i wodza; przypomnijmy sobie wreszcie przyczyny, dla których propaganda rzymskiego katolicyzmu, z całą swoją wyłączością, z mistycyzmem i z inkwizycją, znalazła sobie w tym kącie Europy swobodniejsze, niż gdzieindziej, do działania, pole — a będziemy mieli dopiero pojęcie, *czem i jaką* być musiała Muza Calderona.

W istocie, czyżby Calderon, mimo swego kapłaństwa, był w utworach swoich tyle religijnym i niemal bigotem, ile nim jest np. w *Antos sacramentales*, gdyby nie był hiszpanem? czy *Książę niezłomny*, *Kochankowie Nieba*, mogliby powstać w myśli tegoż samego twórcy, gdyby ten był Niemcem lub Francuzem? Poznawszy dobrze przeszłość dziejową hiszpanów, zrozumimy początek wszystkich rycerskich (Calderon był też żołnierzem) i miłosnych jego komedij, (*comedias de capay espada*), i pojmiemy, dlaczego te, w dzisiejszym jeszcze czasie, gdzie tak małą w Europie rolę gra *miłość i rycerstwo*, utrzymują się w Hiszpanii na scenie i są przyjmowane z zapalem. Rozumując to, pojmiemy także przyczynę, dlaczego po wielkiej sławie Calderona, za życia nastąpił okres (koniec XVII i początek XVIII wieku), zupełnego prawie o nim zapomnienia; dlaczego dziś wreszcie, w chwili powszechnego zastoju poczyti, hiszpanie tak tłumnie idą do mogiły wieszcza, którego najważniejszym przymiotem była umiejętność malowania z największą prawdą duchowego i obyczajowego życia narodu, wśród którego się urodził.

Calderon, mimo nadzwyczajnej swojej płodności, która mu pozwalała uprawiać wszystkie znane rodzaje poezji, był przeważnie jednak tylko dramato-pisarzem. Rzecz dziwna, gdy wszyscy prawie inni, pierwszorzędnej sławy, mistrze sztuki zyskali sobie rozgłos głównie oryginalnością, on pozyskał najpiękniejsze i największe laury, chociaż nie dał światu nie prawie nowego ani nieznanego przedtem, nie stworzył żadnej szkoły, lecz tylko kontynuował dzieło, zaczęte już przez innych.

Jak wiadomo, poprzednikiem Calderona na polu dramatu, był już mistrz taki, jak Lopez de Vega; wiemy też, że Hiszpania miała innych jeszcze, a wcale niepoślednich dramaturgów, przed 1600 już rokiem, datą narodzin Calderona (Valdivielso, Torres Naharro, Gil Vicente, Luis de Miranda, Alarcon, Tirso de Molina, Guerara etc.).

W tem właśnie zjawisku spoczywa może najważniejszy dowód wielkości słynnego pisarza. Musiał on w swoim talencie mieć wielką moc potęgi, musiał przymioty, cennie i chwalone w innych, posiadać w bardzo wysokim stopniu, skoro znajdował sobie u współczesnych i u potomnych szeroki rozgłos. Goethe, określając talent jego, mówi: „Szekspir daje nam w sobie pełne dojrzałe winne grono z krzewu; możemy z niego obrywać jagodę po jagodzie, wyciskać je, wysysać z nich sok lub łykać, zawsze będziemy orzeźwieni. Calderon, przeciwnie, nie pozostawia nic własnej woli widza; daje wydobyty już, oczyszczony do

najwyższego stopnia winny spirytus, wzmocony różnemi przyprawami; musimy napój ten przyjąć takim, jakim on jest, jako smaczny, kosztowny, pobudzający środek — lub odrzucić go zupełnie.“

Na czemże, oprócz zdolności wiernego malowania życia swojego narodu polega jeszcze wartość utworów Calderona, że je do dziś tak świat ceni, iż na wieniec, mający po 200 latach, ozdobić mogiłę jego, wszystkie oświecone ludy posyłają swoje kwiaty?

Najpierwsze prawo do wszechświatowego znaczenia, daje mu wyłącznie posiadana umiejętność wprowadzania w życie i nadawania wyraźnych plastycznych kształtów temu, co najmniej może do tego nadaje się w sferze sztuki — ideom, pojęciom i najbardziej nawet zawiłym dogmatom chrześcijaństwa. U Calderona idea każda, choćby najbardziej oderwana, przybiera widome ciało, występuje w wyraźnej, żywej postaci, mówi do nas i działa. Pokusić się na coś podobnego w sferze dramatu, gdzie jak wiadomo, idzie najbardziej o życiową powszednią prawdę — umieć w tak misternych szatach usymbolizować pojęcia, wierzenia i zasady, aby te, w ogólnem powiązaniu swoim jedną całkowitą akcją, nie wydawały się błądzącymi duchami na scenie, a interesowały nas, przyciągały do siebie i nie nużyły w drodze do ostatecznego rozwiązania — zaiste, umiejętność to rzadka, tem rzadsza, że Calderon osiągał cel nie żadnymi nowymi, oryginalnymi środkami, lecz znanymi i używanymi.

Jest też to przedewszystkiem pisarz chrześcijański. O ile chrześcijańska wiara rozlega się szeroko po ziemi — i ile sobą goręcej lub chłodniej interesuje serca, o tyle Calderon jest w sferze sztuki najlepszym jej i najjaśniejszym tłumaczem. Że naród hiszpański, jako na wskroś religijny aż do dewocyi, mógł pokochać Calderona, że do dziś jeszcze sztukom jego sypie huczne oklaski — rzecz jest to jasną. Calderon zresztą tak się rozsymbolizował, że i pogańską religię również z jej bogami i boginiami wyprowadzał na scenę. Obok utworów tego rodzaju, jako głównych, wszystkie inne są już tylko drugorzędne.

Prócz Lopeza, nikt w dramacie od Calderona płodniejszym nie był. Począwszy od tragedji, aż do humoreski scenicznej — wszystko znajdujemy w autorskim jego repertuarze.

Wpływ jego na swój naród i na inne nawet współczesne, był ogromny; protegowany przez króla, który mu powierzał cały kierunek teatru narodowego, doszedł też do wielkiego znaczenia.

Inni poeci i artyści bili czołem przed jego powagą — dworacy uganił się o jego łaski, — krytycy nazywali go słońcem ziemi... Po śmierci zaczęły się podnosić głosy przeciw powadze Calderona. Zaczęto go nawet traktować jako autora niemoralnego. Moradin (starszy), pisarz wówczas bardzo ceniony, napadł na najpiękniejsze z *Antos sacramentales*, nazywając je nie tylko niebudującami, ani niereligijnymi, ale nawet wyraźnie gorszącymi i szkodliwymi dla katolicyzmu. Doszło do tego, że wskutek złośliwych krytyk Moradina i Fajardosa, ministrowie Karola III, Aranda i Florida-Blanca zakazali przedstawiania *Antos'ów* na placach publicznych.

Jakiegokolwiek były i będą jeszcze losy utworów Calderona, sądzimy, że dramaty takie jak: *Książę niezłomny*, *Kochankowie Nieba*, *Fernando Fenia*, *Córa Powietrza*, *Życie snem*, *Malarz swej hańby* i *Sybilli Wschodu*, — pozostaną prawdziwymi klejnotami historycznymi sztuki i poezji. ¹⁾

T. T.

¹⁾ Na język polski przełożono: *Alkad z Zalamei* (Chłopicki); *Książę Niezłomny* (J. Słowacki); *Lekarz swojego honoru* (J. N. Kamiński); *Kochankowie Nieba* (K. Baliński). W *Pismach poważniejszych* Majorkiewicza znajduje się rozprawka „Religijność w Calderonie.“

W SPRAWIE HIPOTEK WŁOŚCIAŃSKICH.

Od szanownego i zasłużonego badacza prawa odbieramy list następujący:

Panie Redaktorze! — „W perspektywie“ Nr. 22 *Prawy*, projekt p. Jeziorańskiego o hipotekach włościańskich, wywołał kilka uwag, według których, projekt ów, lubo ze wszech miar pożyteczny, nie prędko zapewne w naszym kraju zostanie urzeczywistnionym, skoro w ościennej Galicyi, mimo już wydania odpowiedniej ustawy, wiele jeszcze czasu upłynie, nim wejdzie w wykonanie. Twierdzenie to, o ile dotyczy naszego kraju, wymaga sprostowania, o zamieszczenie którego uprzejmie upraszam, ze względu na ważność przedmiotu przedstawionego w mylnem świetle.

Z treści uwag zamieszczonych „W perspektywie“, wnioskuję, iż p. Jeziorański, którego artykułu nie miałem sposobności czytać, pragnie tylko uregulowania hipotek włościańskich. Otóż życzeniu temu, u nas, oddawna stało się zadosyć, jak o tem przekonywają następujące okoliczności. Według art. 33 Przepisów o wydawaniu listów likwidacyjnych, z d. (4) 16 sierpnia 1865 r., urządzenie hipotek dla osad włościańskich, nie tylko jest dozwolone, ale nawet w pewnych razach, w powołanym przepisie prawa wyszczególnionych — nakazane. Żadnych oddzielnych ustaw, mających na celu regulację hipoteczną osad włościańskich, nie potrzebujemy, te bowiem istnieją od 1818 r. o ile hipoteka osady włościańskiej ma być wniesioną do ksiąg hipotecznych gubernialnych, zaś od 1825 r. o ile osady włościańskie mają mieć hipotekę powiatową, znajdującą się przy Sędziach Pokoju. Do regulacji tych mniejszych nieruchomości, żaden termin prekluzyjny nie został oznaczony, i regulacja każdej szczególnej nieruchomości zostaje przedsięwzięta, gdy o to zajdzie żądanie strony interesowanej (art. 11 pr. hip. z 1815 r.), zaś na Komisję Sprawiedliwości włożonym został obowiązek urządzenia dla takich hipotek, skróconego i mniej kosztownego postępowania (art. 12 l. p.); jakoż Komisja Sprawiedliwości, wywiązując się z tego obowiązku, ułożyła odpowiednią instrukcję pod d. 22 grudnia 1825 r., do dnia dzisiejszego obowiązującą.

W rozwinięciu powyżej przywiedzionej zasady, iż osady włościańskie mogą mieć, a niekiedy są nawet obowiązane, do urządzenia hipoteki, co zresztą jest prostem następstwem nadania ziemi włościanom na własność, w art. 2 przepisów z d. 12 lipca 1869 r. o wydawaniu pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, toż Towarzystwo upoważnione zostało do udzielania pożyczek na osady włościańskie, posiadające hipotekę powiatową, i do tej czynności, udzielania pożyczek, miały być wydane oddzielne przepisy. O ułożeniu ich nie posiadam żadnej wiadomości; prawdopodobnie trudności, wpływające z organizacji władz Towarzystwa Kredytowego, stanęły temu na przeszkodzie, równie jak mała wartość osad tego rodzaju, lecz większa własność włościańska wynosząca 90 morgów, według uchwały Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, z d. 3 lipca 1871 r., rozporządzenia b. Komisji Sprawiedliwości z d. 16 (28) Czerwca 1872 r. N. 5541 i wyjaśnienia Ministra Finansów z d. 19 października 1872 r., — ma prawo urządzenia dla siebie hipoteki gubernialnej i korzystania z pożyczek Towarzystwa Kredytowego; przy sprzedaży zaś osady włościańskiej przez Towarzystwo za zaległe raty, według wyżej wzmiankowanej uchwały Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, nie mają miejsca ograniczenia, wpływające z przepisów istniejących o sprzedaży osad tego rodzaju, to jest, innemi wyrazami, że do kupna osady mogą stawać nie tylko włościanie. To ostatnie zastrzeżenie, postawione ze względów bezpieczeństwa

ależności Towarzystwa, jest, według mego zdania, głównym powodem nie wydania dotąd przepisów o udzielaniu pożyczek Towarzystwa Kredytowego na osady włościańskie, mające jedynie hipotekę powiatową, zachodzi bowiem obawa, by drobna własność włościańska nie przeszła w inne ręce. Z powyższych przeto przepisów jasno wypływają następujące wnioski: 1) że wszyscy bez wyjątku właściciele osad włościańskich, mają prawo uregulować hipotecznie swoją nieruchomość; 2) że właściciele 90 morgów przynajmniej, mogą mieć księgi hipoteczne gubernialne, zaś właściciele mniejszych posiadłości, księgi hipoteczne powiatowe; 3) że pierwsi już obecnie mogą przystępować do Towarzystwa Kredytowego, — drudzy, chociaż pozbawieni tego prawa, mogą wszakże wykonywać wszelkie inne czynności hipoteczne.

Nadmieniam w końcu, że z prawa uregulowania hipotecznie swojej własności, włościanie korzystają, jak tego dowodzą ogłoszenia, zamieszczane niemal w każdym numerze *Gazety Sądowej* z roku bieżącego, odnoszące się do osad złożonych, z 35, 25 a nawet 14 morgów, np. Wojciecha Dreła we wsi Jedlna.

W takim stanie rzeczy należałoby raczej przedsięwziąć środki, dążące do wykazania włościanom korzyści, jakie mogą osiągnąć z uregulowania hipotecznej swojej własności, niż żądać poparcia projektu, od dawna w czyn zamienionego. Czyżby dopiero teraz, po upływie lat szesnastu, ogół miał dowiedzieć się o istnieniu prawa, pozwalającego regulowania osad włościańskich, tak samo, jak po czterech latach powziął wiadomość o prawie podawania skarg w języku ojczystym do Sądów gminnych, zaś po piętnastu latach, o prawie wybierania pełnomocników przez gminy? Taki wszakże wniosek musimy wyprowadzić ze wzmiankowanego artykułu p. J., ubolewając nad małym rozpowszechnieniem wiadomości prawnych, koniecznych dla każdego obywatela kraju, by mógł skutecznie stawać w obronie praw swoich. Dodaję w końcu, iż dwie pierwsze kwestye, dotyczące hipotek osad włościańskich i języka polskiego, starałem się rozwiązać w dwóch moich pracach, jednej p. n. *Ustawy hipoteczne*, która weszła do wydawnictwa *Prawa Cywilnego* przez p. Karola Hube (T. II str. 109, 110 i 124, wyd. z 1877 r.), — drugiej p. n. *Ustawy postępowania sądowego*, wydanej w 1877 r. przez *Bibliotekę Umiejętności Prawnych*, w której (T. I, str. 53) zamieściłem następujące wyrazy: „Nadto, w sądach gminnych, jako urzędujących po wsiach, gdzie ludność nie posiada w ogóle znajomości języka rosyjskiego, lubo według art. 241 Postan. z 1875 r. postępowanie sądowe odbywać się powinno w tymże języku, wszelkie stosownie do ust. 1. Najw. zatw. Uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego, ogłoszonej w Ukazie Rząd. Senatu z dnia 2. lipca 1876 r., w sądach gminnych, przy rozpoznawaniu spraw cywilnych i kryminalnych, wolno używać języka, jakim mówi ludność danej miejscowości, gdy strony i osoby, wpływające do sprawy, nie umieją po rosyjsku. Zatem, chociaż wszystkie akta piśmienne wychodzące od sądu powinny być redagowane w języku rosyjskim, lecz prośby powodowe, czy to ustne, czy piśmienne, jako pochodzące od strony, mogą być podawane w języku polskim.“ Proszę o wybaczenie, że cytuję sam siebie, ale w tak ważnej sprawie, jak sprawa języka ojczystego, mniemam, wolno mieć odrobinę próżności, iż pisząc przed wprowadzeniem reformy sądowej, w przewidywaniu tych trudności, które istotnie nastąpiły, wskazałem pierwszy wyraźnie na prawne środki obrony, jakie następnie zastosowane, okazały się skutecznymi.

Zechciej Pan przyjąć i t. d.

30 maja 1881. Wł. Nowakowski.

KAROL KLOSS.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Jeżeli widok mogiły ludzi, którzy spełnili swój zawód, wywołuje szczery smutek, to żal przedwczesnej straty tem żywiej budzi się grobem człowieka przyszłości. Nagle zmarły w nocy z d. 28 na 29 maja młody artysta rzeźbiarz, Karol Kloss, znajdował się właśnie w tej szczęśliwej chwili, gdy zwycięwszy zawady losu stawiał śmiało samodzielne kroki na polu sztuki, patrząc jasno w przyszłość z tą pogodą, jaką daje pewność urzeczywistnienia najgorętszych nadziei. Urodzony w naszym mieście r. 1848, w tutejszych szkołach pobierał średnie wykształcenie; studia artystyczne odbyte w Berlinie, uwieńczyła następnie podróż do Włoch, i wtedy żywy jego umysł i dzielny talent wykształcił się pod wpływem tradycji klasycznych starej Romy, której świat zamierzchły młody artysta umiłował gorąco. Po przybyciu z Włoch rozpoczął od lat paru w naszym mieście płodną działalność, umiając dzięki energii i praktyczności połączyć pracę zarobkową ze służbą dla prawdziwej sztuki. Na każdym konkursie rzeźbiarskim Kloss stawał jako ochoczy zapaśnik i często wychodził zwycięzcą. Jego projekt do symbolicznej statui *Wisła* pojęty w stylu rodzajowym, miał dużo wdzięku i czysto swojskiego charakteru. Z utworów religijnych najlepszą jest premijowana płasko-rzeźba, *Cudowne rozmnożenie chleba*, odznaczająca się dobrą kompozycją i prostotą. Dwa posągi: *Chrystus zmartwychwstały* oraz *Kordecki* nie imponowały religijnem natchnieniem, ale miały zalety układu i techniki. Najwybitniej jego talent ujawnił się jednak w bardzo pięknej grupie *Straceńce Tarpei*, o której niedawno podaliśmy bliższą ocenę. To prawdziwe dzieło sztuki ukazało w Klossie twórcę niepospolitej miary, kojarzącego siłę i jedność klasyczną z nowożytnym wdziękiem i elegancją, a pod względem techniki zdradzało już niepospolitego artystę. Krytyka przyjęła ten utwór nader sympatycznie, nie bawiąc się w półgębkowe pochwały, witając w artyście dzielnego zapaśnika polskiej rzeźby. Upojony powodzeniem, Kloss ze zwykłą sobie energią zaczął tworzyć nowe dzieło, pomyślane oryginalnie i humorystycznie. Jest to *Wenus* nowoczesna, która wychodząc z kąpieli położyła na globusie pantofelek. W taki sposób artysta uosobił ujażdżającą świat potęgę wdzięków niewieściech, ale śmierć przerwała rozpoczętą pracę.

Rzutki i bystry umysł Klossa niezadawał się powodzeniem artysty, ale sięgał także w wolnych chwilach po laury literackie. I na tem polu potrafił zmarły stworzyć dzieło, któremu się należy zaszczytna wzmianka w kronice dramatopisarstwa. Zamiłowany w rzymskiej przeszłości odtworzył jedną z jej postaci dziejowych w dramacie *Cajus Gracchus trybun* (Lwów 1876), który pomimo usterek nosi na sobie piętno istotnej siły i męskiego, spiżowym tonem brzmiącego, zapału. Przedmiotem utworu jest walka słynnego trybuna, obrońcy wolności ludu, z przemocą i zdradą patrycyatu. Mało który utwór w naszej literaturze technicznie tak szczerym i tak dzielnym zapałem demokratycznym. W osobie bohatera Kloss starał się wcielić ideał starorzymskiej cnoty, przybrał w sympatyczne gry miłość ojczyzny, opartej na poczuciu prawa. Dzieło to pomimo wadliwości w kompozycji zdradzało talent młodzińczy, który zwłaszcza w prologu zdobywał się nawet na dramatyczną siłę. Ponieważ motywy tego ustępu przedstawiał sam przez się materiał do osobnej kompozycji, więc artysta odjąwszy go od całości, rozwinął osobno w trzyaktowym dramacie *Sempronia*, w którym usunął na drugi plan

akcję polityczną, stwarzając całość, opartą na silnem starciu fanatyzmu patryotycznego z prawami moralnemi. Utwór ten zastosowany do warunków naszej sceny, złożony Dyrekcyi Teatrów, oddany został pod opinię Komitetu dramatycznego, który prawdopodobnie oceni jego niezaprzeczone zalety. Na niwie nowożytnej Kloss mniej szczęśliwie stapał, jak tego dowodzi dramacik *Kuryer Warszawski*, nacechowany zbyt specyjalną tendencją w kwestyi podrytków i przeładowany frazeologią. Niemale zalety ma posiadać dramat *Mieszko i Oda*, znajdujący się w rękopiśmie. Wiedzimy z tego, że Kloss umierając w siłę wieku, zaznaczył już wybitną swą dwustronną działalność, że na polu rzeźby wkroczył na szeroki gościniec, wróżący szereg powodzeń, obiecujący plon istotnego dla sztuki pożytku. Natura to była żywo zapalna, szlachetna, szczerze artystyczna, obdarzona szczęśliwą miarą, która pozwołała wyzyskać zasoby niepospolitego talentu i pracować dla wyższych ideałów sztuki, nie zapominając o chlebie powszednim. Pomimo apatii, jaka u nas panuje dla rzeźby, Kloss potrafił walczyć energicznie i skutecznie z niepomysłnymi warunkami, potrafił zdobyć sobie stanowisko niezależne, był bojującym szermierzem sztuki, którego śmierć nielitościwa zgładziła w chwili, gdy odniósł pierwsze zwycięstwo.

LIBERUM VETO.

Projekt nowego kodeksu karnego. — Uwaga raportu i sprawy wyznaniowe. — Historia kapitana L. — Wykonanie nieistniejącego wyroku. — Na co pompadur, kiedy prawo rządzi. — Inspektor służby zdrowia w obronie lodu z mykwy. — Proponowane tematy do ćwiczeń gimnazjalnych. — Ofiarności mających coś do sprzedania. — Wystawa geograficzna. — Czy my co dla niej mamy. — Powód przyjęcia udziału. — Czkawka.

Jakkolwiek dopiero szesnastcie lat Ustawa o karach wymierzanych przez sędziów pokoju klóci się z ciągnącym w inną stronę wózek Temidy Kodeksem, już postanowiono tę niezgodną parę wyprzążić i zastąpić jedną siłą. Zarazem mają być przygotowane nowe wagi dla bogini sprawiedliwości, która dotąd zbyt obciążała swe szale dla oznaczenia kar na jedne przestępstwa, a zbyt małemi zbywała drugie. Słowem, osobna komisja zajęła się opracowaniem nowego Kodeksu Karnego. Niech pamiętnym zostanie dzień ogłoszenia tej przesłicznej nowiny, w przypuszczeniu naturalnie, że urzeczywistnienie jej będzie pożądanem. Ach, gdybym tu chciał wypisać to wszystko, co jest pożądanem; cienki pasek wykrojony z tych pragnień opasałby większą przestrzeń, niż zajmowała stara Kartagina. Wstrzymuję się jednak do chwili, w której projekt nowego kodeksu, wypracowany przez komisję redakcyjną, podany zostanie do wiadomości powszechnej a opinia ogółu wezwana do poczynienia nad nim swych uwag. Potrączę jedynie kilka faktów świeżych.

W raporcie urzędowym co do ułożenia nowego prawa karnego, znajduje się — jak wspomnieliśmy — ta słuszna uwaga: „Kodeks obciąża zbyt surowymi karami takie czyny, które obecnie opinia powszechna uznaje za wcale niekarygodne albo bardzo drobne, których też prawodawstwa innych państw albo wcale nie karzą, albo poddają karom względnie lekkim... Kodeks (dotychczasowy) nie odpowiada współczesnemu duchowi potrzeb państwowych i nieraz sprzeciwia się obyczajowo-prawnym poglądom narodu na karygodność tych lub ozych czynów.“ Poparcia temu twierdzeniu dostarczają przedewszystkiem sprawy wyznaniowe, w których prawo rosyjskie zachowuje nieznana innym państwom surowość. Jak wiadomo, przejście z wyznania

prawosławnego na inne jest obciążane ostrą karą a nawet zdarzają się wypadki przymusowego nawracania. Jeden z takich wypadków był właśnie przedmiotem głośnej w pismach rosyjskich sprawy. Kapitan straży granicznej L., katolik, zachorował niebezpiecznie przed dwudziestu kilku laty w Nowogrodzie. Wezwany ksiądz prawosławny udzielił mu komunii. Dzięki temu zdarzeniu zapisano L. do prawosławnych a nawet w tym charakterze zaciągnięto go do listy stanu służby. Tymczasem L., uważając się za katolika, zawarł w r. 1861 związek małżeński w kościele katolickim. Po kilkunastu latach wytoczono mu proces o unieważnienie małżeństwa i uznanie czworga dzieci za nieprawe. Oskarżony wniósł prośbę objaśniającą, której nie uwzględniono. W r. 1879 umarł, a żona jego wraz z dziećmi miała być pozbawiona praw przez ten związek nabytych. Krzywda jednak zbyt głośno domagała się naprawy. Zrewidowano sprawę administracyjnie i Synod otrzymał Najwyższe zezwolenie uznania ślubu kapitana L. za ważny. Fakt taki w Rosji nie jest zjawiskiem odosobnionem. I dla tego przymusowe prawosławie stanowić będzie niezawodnie dla komisyi kodeksowej wdzięczny przedmiot do rozważy i dotkliwy anachronizm do usunięcia.

Obok zmiany prawa należałoby również pomyśleć o sposobie bliższego poznamienia z nim jego wykonawców i zatamowania ich popędów ustawodawczych. Potrzebę tę wykazuje świeży, nader charakterystyczny przykład. Do pewnego sędziego pokoju — jak donoszą gazety — ktoś wniósł skargę o 142 rs. i otrzymał wyrok zaoczny pod tymczasową egzekucją. Gdy przystąpił do wykonania wyroku, pozwany założył opozycję, wstrzymującą prawnie wszelkie kroki egzekucyjne. Skoro wszakże wierzyciel nie ustąpił, dłużnik wniósł do tegoż sędziego prośbę o wstrzymanie sprzedaży zajętych ruchomości. Ale sędzia postanowił być wyższym nad prawo i dozwolił egzekucję prowadzić dalej. Tym sposobem nieistniejący wyrok został wykonanym.

Nie o ten jeden wypadek nam idzie, nawet nie o tysiąc podobnych, ale o odjęcie możliwości urzędnikom dowolnego stanowienia praw, których logiki nikt przewidzieć nie może. Piękna ta, ale bardzo szkodliwa chęć jest bardzo rozpowszechniona w Rosji. Genialny humorysta rosyjski, Szczedryn, z dziwną umiejętnością chwytający wady własnego narodu, tak opisuje jednego ze swych bohaterów: „W rozmowie z kancelistą (pompador) całkiem przypadkowo dowiedział się, że istnieje prawo, które w pewnych razach dozwala, a w innych — kępuje. Do tej chwili naturalnie nie wątpił o tem, że prawo jest, ale przedstawiał je sobie pod postacią książek oprawionych, stojących w szafie kancelaryi. Gdy książki te były rozrzucone po stołach, poszarpane i zatłuszczone, nazywał to nieporządkiem; gdy stały rzędem na półce, był przekonany, że porządek panuje wzorowy. Dozwalającej lub kępującej siły prawa nie znał i przypuszczał raczej, że prawo nie jest niczem innym, tylko dytyrambem na cześć pompadorów. A ponieważ był człowiekiem skromnym i zawsze rumienił się, kiedy go chwalono w oczy, nie dziwnego, że nie lubił zaglądać do praw.“ Nakoniec, zniecierpliwiony ciągłymi uwagami kancelisty, że prawo go w wielu objawach swobody ogranicza, spytał razu pewnego: „Jeśli ono rozkazuje, to po cóż ja tu jestem?“ Trzeba więc koniecznie znaleźć sposób wytłomaczenia tym, którzy prawo w szafce trzymają, po co są oni.

Pytanie takie może sobie zadaje p. inspektor służby zdrowia w mieście naszym, który zasłużył na pochwalną odę w kilku pismach, na jego cześć wygłoszoną. A jakże wspaniałe tytuły chwały! Trzy wielkie lodownie w Warszawie zaopatrzyły

się w lód ze zmarzniętej wody, wypuszczanej z łaźni żydowskiej na Solcu. Prasa, wstrząsnawszy się z obrzydzenia, krzyknęła, skutkiem czego lekarz miejscowy polecił uprzątnąć lód, z ryzostoków mykwy wycięty. „Właściciele lodowni — opowiada *Kurier Warszawski* — niezadowoleni z takiej decyzji, udali się do wyższej władzy i sprawili, iż pan inspektor służby lekarskiej miasta Warszawy, który tak liczne składa dowody dbałości o stan zdrowia naszego miasta (co za złośliwość!) udał się na miejsce, dla naocznego przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy. Rzeczony pan inspektor nie podzielił zdania lekarza miejscowego i wstrzymał wydany rozkaz opróżnienia wymienionych lodowni, uznając lód za zupełnie czysty, *bardzo smaczny* i odpowiedni do ziębienia wody do picia i do innych użytków.“ Naturalnie nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć p. inspektorowi dobrego apetytu w użytkowaniu z tego „bardzo smacznego“ lodu. Nie pojmuję, dla czego korespondenci gazet zagranicznych kłamią w swych doniesieniach, kiedy mają tak piękne prawdy.

No, temu już żaden kodeks nie poradzi. Egzamina w gimnazyjach już się rozpoczęły wypracowaniami piśmiennymi. Przeglądaliśmy tematy niektórych — pyszne, doskonale zastosowane do umysłowego rozwinięcia gimnazystów. Chcąc usłużyć czemkolwiek systematowi nakazującemu myślenie rodzic góry, proponuję szanownym pedagogom następujące zagadnienia dla wypracowań uczniowskich.

- 1) Gdzie stała Troja?
- 2) Jak wygląda biegun północny?
- 3) Co zawierały zaginione traktaty Epikura?
- 4) Jakim sposobem wrażenia się uświadamiają?
- 5) Jakim językiem mówił Ruryk?

Możnaby wreszcie dostarczyć więcej takich zagadek, których uczeni dotąd nie rozwiązaali, ale gimnazyści z pewnością rozwiążą, zwłaszcza gdy będą wiedzieli, że pod tym tylko warunkiem dostaną promocję.

Jeżeli który z was czytelnicy potrzebuje kupić sobie wiązkę rzodkiewki, korzec węgli lub krawat, to niechże się uda tam, gdzie ustępują procent na korzyść kasy dla rzemieślników. We wszystkich bowiem rozgałęzieniach handlu posiada ona już swych miłośniernych dostawców, zapewniających spłaty dzienników deklaracyami swej wspaniałomyślności. Szczerze mówiąc, może sam nie robiłbym inaczej, gdybym posiadał jakikolwiek kramik. Bo owe przyrzeczone procenty zbyt by mnie nie zrujnowały, a tymczasem przesławszy do *Kuriera* list z zapowiedzią ofiary, dowiodłbym szerokiemu światu, że istnieje, i uwiadomił go, co mianowicie sprzedaję.

We wrześniu odbędzie się powszechna wystawa geograficzna w Wenecyi. Komisarzem na państwo rosyjskie jest p. Grigorjew w Petersburgu. Otóż p. Z. L. wykazuje w *Nowinach*, że jeden człowiek na obszerne państwo — to za mało i upomina się o wyznaczenie drugiego na Królestwo Polskie. W zasadzie żądanie słuszne, ale czy p. Z. L. jest pewnym, że my coś na tę wystawę pošlemy? Sprawiloby mi to najwyższą przyjemność, gdybym się omylił; sądzę jednak, że gdy p. Sulimierski pošle swego *Wędrowca* i *Słownika geograficznego*, no, może p. Gloger kilka wykopalisk, to i koniec. Przyjemnie byłoby nam popisać się przed światem własnymi pracami geograficznymi, ale skąd ich wiaść? Galicya... może; zresztą trudno wiedzieć, co się w każdej pracowni dzieje.

Niezależnie od tego jest jeden wzgląd, przemawiający za licznym udziałem w wystawie geograficznej. Mianowicie z Wenecyi niedaleko do Rzymu, a tam, jak wiadomo, wybiera się z Galicyi pielgrzymka, która, między innymi, urządza także profesorowie uniwersytetu krakowskiego.

Możnaby więc pojechać do papieża, po drodze wstąpić na wystawę geograficzną i... figurować na niej jako okazy cywilizacyi kopalnej.

Możesz się, czytelniku bezpiecznie rozśmiać z tej rady, bo jedno z pism naszych podaje aż siedem sposobów uśmierzenia czkawki. Nie czytaj wszakże przypadkiem jego sądów o Molierze i o „przeszłości rzymskiej“, bo dostaniesz takiej czkawki, że nie uspokoisz jej ani pieprzem, ani anyżkiem, ani nawet sposobem, przez fizyologię wskazanym — ziewaniem.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Peryodyczne, stałe zjawiska w kraju naszym, pojawiające się z nastaniem suchej pory corocznie — pożary miasteczek i wsi, otworzyły swój sezon w tym roku bardzo wcześnie. Zaledwie maj ogrzał cokolwiek przez długą zimę wychłodzoną ziemięiosuszyl słomiane strzechy, a już zdążyły się spalić: Łuków, Augustów, Pławno, nie licząc innych pomniejszych wypadków.

Zamiast przelewać z pustego w próżne, stawimy pytanie, które może pośrednio przyczyni się przynajmniej do wyświetleń powodów tej próżni: W jakiej części świata leżeć może w XIX wieku kraj, który dobrowolnie puszcza corocznie kilka milionów z dymem, będąc aż nadto ubogim; czy kraj ten ma jakąś organizację społeczną, jaki istnieje tam system administracyjny?... „Zastanówmy się!“ — jak mówi oficjalny idyota w którejś farsie scenicznej. Po tem zastanowieniu przyjdziemy do przekonania, że... w przyszłym roku będziemy się znowu palili.

* *

„Na pociechę, — powiada list z Mławy w *Korespondencie Płockim* — że to, co dla jednych jest ostateczną klęską, drudzy mogą uważać za szczęśliwy dla siebie wypadek, przytoczyć muszę następujące zdarzenie: Pan P... właściciel owczarni w S., zaasekurował zawartość jej w Towarzystwie Warszawskiem za pośrednictwem mieszkańca tu agenta p. D.; że jednak nie miał wymaganej z góry całorocznej należności, uprosił agenta, żeby założył za niego drugą połowę, a on mu ją za pół roku z podziękowaniem zwróci. Gdy się jednak w tym przeciągu czasu inwentarz nie spalił, a p. P. mimo wielokrotnych prób i nalegań uiszczenia się z długu, stanowczo odmówił, zbyt łatwowierny agent poznał choć zapóźno, że nie wszystko złoto co świeci, a także przypomniał sobie i o drugiem przyszłowi: „mądry polak po szkodzi.“

Cóż było robić? Pan D. ani pisał wrócił do siebie i czapkę nacisnął.

Nazajutrz z rana... gdy już pożegnał się z nadzieją odzyskania na tym świecie swego, z takim trudem zebranego, kapitału, wchodzi p. P. i płaci najprzykładniej zaległą od kwartału ratę. Czy spowiedź Wielkanocna lub nieco spóźniony żal za grzechy był tego powodem? Bynajmniej! Panu P. spaliły się wszystkie owce, a że nie chciał być stratnym, wołał więc postąpić sobie uczciwie i nie nadużywać zaufania pana D., prawdopodobnie z zasady, że „do trzeciego razu sztuka.“

Redakcyja pisma płockiego dodaje do listu taki przypisek: „Znamy i my w płockiem podobnych temu p. ubezpieczonych, którzy w ten sam sposób korzystali z zaufania agenta, ale że się na nieszczęście dla niego, nie spalili, nadużywając więc łatwości skrzywdzili go na znaczną sumę pieniędzy.“

Byłoby to rozszerzenie tradycyjnego oszustwa na koniach?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 czerwca.

Cała Francja, cała Europa nawet mówi i pisze w tej chwili, jeśli nie wyłącznie, to przede wszystkim o Gambecie. Zaraz po odniesionem w Izbie poselskiej zwycięstwie w sprawie reformy wyborczej, wyjechał marszałek-trybun do Cahors, rodzinnego swego miasta w departamencie Lot, gdzie odbyło się odsłonięcie pomnika dla ochotników, poległych w szeregach armii w r. 1871. Otoczony licznym gronem najbliższych przyjaciół osobistych i politycznych, odbył Gambetta prawdziwy pochód. Na całej przestrzeni między Paryżem a Cahors, gdzie tylko zatrzymywał się pociąg, nie było końca owacyom, które u celu podróży rozwinęły się już w entuzjastyczną demonstrację niezwykłych rozmiarów. Prezes Izby przyjmował przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych, deputacje od stowarzyszeń, udzielał posłuchania osobom prywatnym; niema też przesady w uwadze dzienników, że od czasów pierwszego konsula, a później od czasów „księcia prezydenta” zanim został cesarzem, nie było osobistości, któraby taki urok budziła w masach narodu jak obecnie Gambetta. „Nie brak też głosów, mianowicie w prasie wrogo usposobionej dla ulubieńca ludu, obwieszczających upadek trzeciej republiki pod dyktando Gambetty, po którym przyjdzie — Bonaparte. Że te prorocтва puszczków reakcyjnych są fałszywym płodem tendencji, najlepszą rękojmią jest sama Francja, w której duch republikański, bądź co bądź, zbyt już zapuścił korzenie, aby je zatruć potrafił upadły urok bonapartystowskiej legendy. Mniejsza jednak o spory prowadzone na rachunek przyszłości. Trzymając się tego co jest dziś, stwierdzić trzeba, że tryumf Gambetty jako wybitniejszego przedstawiciela republikańskiej idei, są niezatartem świadectwem stanowczego przełomu opinii publicznej w tym kierunku. A teraz wróćmy do Cahors. Gambetta wypowiedział tu dwie mowy polityczne: jedną zwróconą do zagranicy, drugą poświęconą sytuacji wewnętrznej. Wielkie umiarkowanie przebija z tych odczytów programowych. „Francja nie chce polityki zaczepnej, awanturniczej, zaborczej — powiada mówca w pierwszej mowie — ...Mamy dziś dwojaką rękojmię, że ucisk Francji nie będzie już w ręku jakiegos awanturnika narzędziem ucisku wewnętrznego lub niestusznego ataku na zewnątrz. Pierwszą taką rękojmią jest powszechna służba wojskowa, która sprawia, że armia jest Francja sama; drugą rękojmią stanowi fakt, że nikt nie będzie decydował o pokoju lub wojnie tylko sam naród... Jeżeli Francja uległa wielkiemu nieszczęściu to dlatego, że w nieszczęsnej godzinie oddała się cała w ręce jednego człowieka... Nie wiercie tym, co mówią, że nasza wielka armia, której naród tyle troskliwości poświęca jest groźbą dla pokoju. Jej narodowa organizacja zapewniła właśnie długotrwały pokój. Francja pragnie wyrastać w spokoju, którego szczególnie potrzebuje, a ma siłę obronną, gdyby zaczęła być nią. Ta okoliczność zabezpiecza pokój. Zaczepiane bywają tylko słabe narody; silne — są szanowane... Dopóki zresztą sami jesteście panami swoich losów, nie się nie stanie bez woli narodu... Czogo zaś chce Francja, chcą republikanie: porządku, spokoju przy wolności i trwałego postępu, zapewnienia ciągłego wzrostu geniuszowi Francji“. Taki jest bieg myśli tej mowy. Oklaskom słuchaczy zawtórowała i opinia polityczna za granicą. *Nordd. Allg. Zeitg.* nazywa Gambettę najmłodszym mężem stanu Francji, który najlepiej umie odczuć usposobienia narodu i oblec je w odpowiednie wyrazy. W dru-

giej mowie Gambetta głównie poruszył stosunek swój do prezydenta republiki i kwestję reformy konstytucji. Co do pierwszego, protestował mówca energicznie przeciw insynuacyom, usiłującym wywołać antagonizm między nim a Grevym, którego bardzo wynosił, chwalać jego świetne przymioty osobiste, czystą przeszłość i charakter. Pod względem zmian w obecnej konstytucji, Gambetta powiada, że są one potrzebne, że konstytucja dzisiejsza nie może być uznana za ostateczną, ale czas dzisiaj nie potemu. Trzeba to zostawić przyszłości. Senat uznaje Gambettę za instytucję użyteczną, zwłaszcza, gdy coraz więcej, przy każdym uzupełnieniu, wchodzi doń członków republikańskich.

Tymczasem jednak Izba wyższa przygotowała się z poważną opozycją w sprawie reformy wyborczej, czyli t. zw. głosowania według list. Szanse wniosku w senacie są wątpliwe. Komisję wybrano z większości nieprzyjajnej reformie, zatem propozycja odrzucenia ze strony komisji jest pewną. Jak zawołuje Izba — do tej chwili niewiadomo. W sekcjach, z okoliczności wyboru komisji, głosowało 77 senatorów przeciw reformie, 18 za nią a 86 wstrzymało się od głosowania.

W parlamencie angielskim podnoszono w ostatnim czasie zamieszki anti-żydowskie w Rosji i żądano interwencji dyplomatycznej ze strony rządu angielskiego. Minister spraw zagranicznych, Granville, odmówił interwencji oficjalnej.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Ministerium sprawiedliwości wydało rozporządzenie, ażeby Sady w Królestwie Polskim oprócz świąt prawosławnych obchodzily także święta kościoła rzymsko-katolickiego według nowego stylu.

— W Piotrkowie otwarto w d. 26 z. m. wystawę obrazów i starożytności.

Stowarzyszenia. Na ostatnim posiedzeniu biologicznym Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego, odbytem w d. 31. z. m. mówili pp. Weinberg: *O badaniu hydrograficznem okolic Warszawy*, Dziewulski: *O zagęszczeniu optycznem mięsianu wody z alkoholem*, Znato-wicz: *O gazie oświetlającym Warszawę i wreszcie p. Stanisław Markiewicz wypowiedział rzez p. t. *Demonstracja ławki i stołu do pisania i rysowania dla dzieci do użytku w domu.**

Uniwersytet. W uniwersytecie warszawskim w d. 29 z. m. bronili publicznie rozpraw swych na stopień doktora medycyny pp. A. Elzenberg p. t. *Anatomiczne zmiany gruczołów ślinowych przy wściekłości (Rabies canina) u psów i człowieka* i T. Dunina p. t. *Patologiczne badania nad zapaleniem nerek*; zaś p. Z. Kłosowski również publicznie bronił rozprawy swej na stopień magistra farmacji p. t. *Charakter działania środków antyseptycznych na fermenty.*

Wystawa geograficzna we Wenecji odbędzie się we wrześniu r. b., jednocześnie z wielkim międzynarodowym kongresem geograficznym w tem mieście. W gronie protektorów wystawy figurują obok króla, imiona pierwszorzędných włoskich dygnitarzy: senatora księcia Diovanelli di Venezia, hrabiego Dante Serego Allighieri, kawalerów Negri, Correnti i wielu innych. Stosownie do ułożonego programu, obejmie ona następujące działy:

- I. Geografia matematyczna, geodezyja, topografia.
- II. Hydrografia, geografia morska.
- III. Geografia fizyczna, meteorologia, geologia, botanika, zoologia.
- IV. Antropologia, etnografia, geografia języków.
- V. Geografia historyczna i historia geografii.
- VI. Geografia ekonomiczna i handlowa; statystyka.
- VII. Metodologia, wykład i rozpowszechnienie geografii.
- VIII. Poszukiwania geograficzne i podróże.

Termin przesyłania przedmiotów na wystawę: od 13 czerwca do 30 sierpnia r. b.

Zarząd wystawy (Giunta del Congresso geografico internazionale) mieści się w Wenecji w „Palazzo Municipale“, filia jego w Rzymie na „Via del Collegio Romano 26.“

Osoby pragnące przyjąć udział w kongresie, płać 15 lirów; te zaś, które wniosą 40 lirów, otrzymają tytuł członków-protektorów.

Nagrody, według werdyktu międzynarodowego, będą trojaki, a mianowicie: medale drugiej klasy i listy pochwalne. Jury podzielone będzie na 8 specjalnych wydziałów.

Przedstawicielami kongresu i wystawy w obcych państwach będą, jak zwykle, komisarze. Na całe państwo rosyjskie wybrały został jeden tylko komisarz, p. Grygoriew, członek Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu.

Teatr. Towarzystwo dramatyczne p. Puchniewskiego wystawiło na scenie teatrzyku Alhambra niegrana dotąd jeszcze u nas czteroaktową komedję L' Arong'e p. t. *Dobroczyńne damy.*

— Sztuka Ryszarda Vossa p. t. *Die Patricierin* nagrodzoną została na konkursie dramatycznym w Frankfurt nad Menem.

— W teatrze berlińskim wystawiono tragedję historyczną G. Conrada p. t. *Catharina von Medicis.*

— Krakowie wystawiono nową czteroaktową komedję Błazińskiego p. t. *Rosbitki.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. K. Prosimy Pana jeszcze raz o uważne odczytanie odnośnych ogłoszeń. Nie ma żadnej sprzeczności. P. Helenie M. w *Krzemieńcu*. Postaramy się temu zapobiedz.

OGŁOSZENIA.

ŻYTO Ś-to JAŃSKIE

do siewu, w wyborowem ziarnie, poleca

SKŁAD NASION

Wasilewski & Kaniewski

W WARSZAWIE

ulica Nowo-Senatorska Hotel Litewski.

1—2

Nakładem Wydawnictwa Bernarda Lesmana

wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

F. A. Langeo,

HISTORIA FILOZOFII

Materyalistycznej

i jej znaczenie w teraźniejszości. Tom 1-szy ukończony, tłumaczył Aleksander Świętochowski, Tom II-gi, którego I-szy zeszyt (z kolei 6) opuścił prasę, tłumaczył Feliks Jezierski.

Cena za dwa tomy rs. 6. 3—1

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku i stanowiący albo osobną książkę albo część dzieła większego.

Do dzisiejszego Nr. PRAWDY dołącza się ogłoszenie: Zakłady lecznicze dra W. Brodowskiego.